



STOWARZYSZENIE  
CIVITAS CHRISTIANA  
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

ISSN 1232-5910

# ALMANACH SĄDECKI



**R. IV  
NR 1 (10)**

# BWR

BANK WSPÓLPRACY REGIONALNEJ S.A.

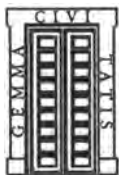
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

UL. S. KONARSKIEGO 5

tel./fax 43 54 45, 43 56 55, 43 55 65

43 58 06, 43 58 12





STOWARZYSZENIE  
CIVITAS CHRISTIANA  
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

·PAX·

# ALMANACH

## SĄDECKI

R.IV NR 1 (10)



Nowy Sącz 1995

Almanach Sądecki (kwartalnik)  
Wydawnictwo Stowarzyszenia Civitas Christiana  
w Nowym Sączu  
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3, tel. 43 81 52



Redakcja: Marek Basiaga  
Leszek Migrata — red. naczelny  
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Skład komputerowy: BIKER  
Nowy Sącz, ul. 1 Brygady 8/42

Druk: S.C. "BAAD"  
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. 41 28 25

**Maria Brylak–Zaluska**

## **ŚWIĘTA WIELKANOCNE NA SĄDECCZYŹNIE**

W obrzędowości dorocznej największym świętem wiosennym jest Wielkanoc. W cyklu uroczystości wielkanocnych, obok wyraźnie dominującej religijnej treści tych świąt, obchodzonych na pamiątkę męki i zmartwychwstania Pana Jezusa, doszukać się można śladów znacznie starszych obrzędów, związanych z przedchrześcijańskimi świętami agrarnymi i zadusznymi, przypadającymi na okres wiosennego zrównania dnia z nocą, czyli ponownego budzenia się przyrody do życia. Obrzędy odbywające się w tej porze roku i towarzyszące im zabiegi magiczne miały zapewnić dobre urodzaje, obfitość zwierzęcego przychówku, zdrowie ludzi i przychylność sił przyrody oraz nadprzyrodzonych mocy.

Okresem poprzedzającym święta Wielkanocy jest Wielki Post, rozpoczynający się od Środy Popielcowej, zwanej też Środą Wstępną lub Popielcem. W społeczeństwie wiejskim praktyki wielkopostne związane z religijnym wymogiem pokuty i umartwienia były traktowane bardzo rygorystycznie, odnosiły się do całego sześciotygodniowego okresu (a nie tylko Wielkiego Tygodnia), a dotyczyły zarówno codziennego pożywienia, jak i całego trybu życia.

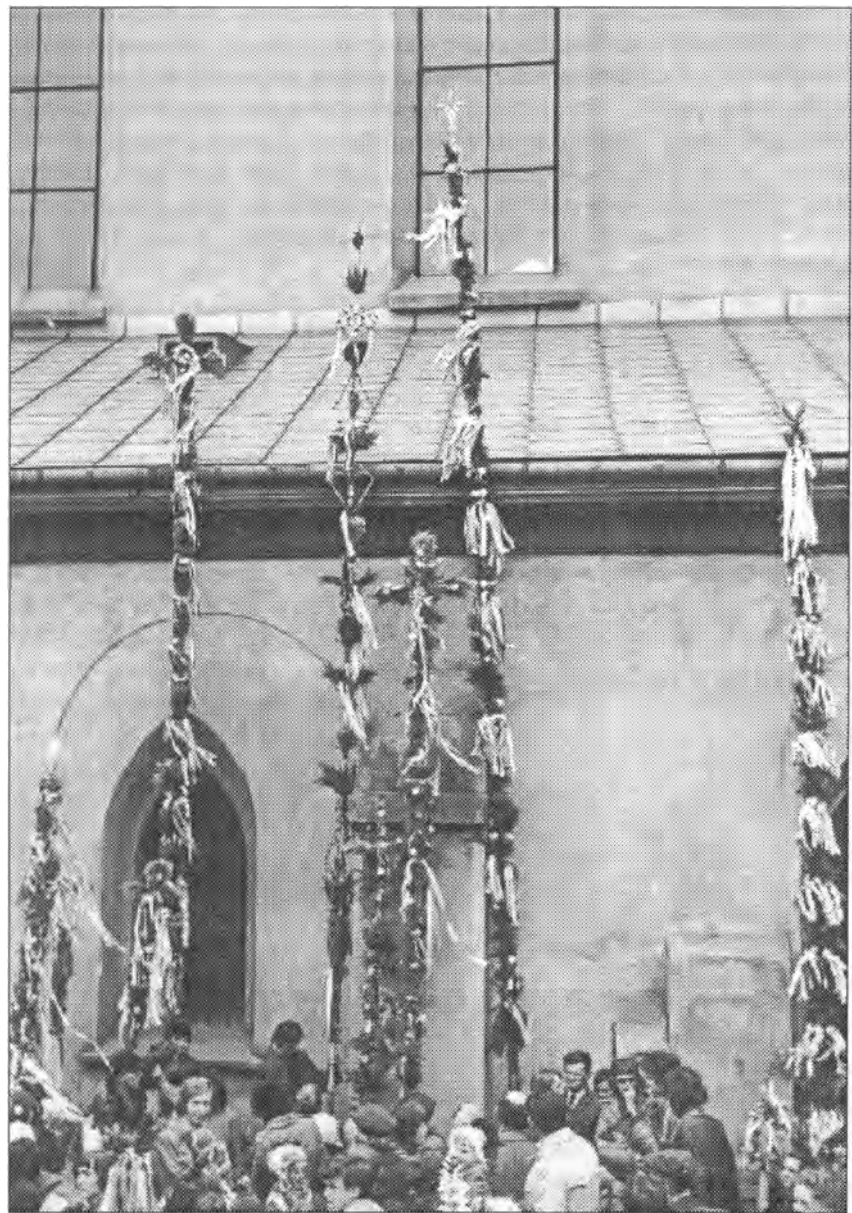
W Środę Popielcową szorowano piaskiem i wyżarzano na ogniu garnki i naczynia, w których wcześniej gotowano mięso lub topiono tłuszcz. Było to symboliczne wyrzeczenie się wszelkiego tłustego jadła. Niegdyś w praktyce dotyczyło ono nie tylko potraw mięsnych i tłuszczów, które na wsi i tak jadano rzadko, lecz także mleka czy jajek. W wielu rodzinach ograniczano nawet jedzenie potraw mącznych jak kluski czy kasza, uchodziły one bowiem za dostatnie, syte pożywienie. Żywiono się głównie żytnim i owsianym żurem, kiszoną kapustą i "kapuśniorką", gotowanymi lub pieczonymi ziemniakami i karpielami, "śliwionką", czyli polewką z suszonych śliw, chlebem i podplomykami. Potrawy maszczono wyłącznie olejem lnianym, w związku z czym wiejskie olejarnie w całym regionie pracowały pełną

parą. Z czasem rygory postne znacznie zelżały, zarówno co do ilości, jak i jakości jedzenia. Na czas Wielkiego Postu zamierało na wsi ponadto wszelkie życie towarzyskie. Od Środy Popielcowej, po hucznie obchodzonym przez trzy dni wcześniej Zapaście, na długo pustoszały karczmy, milkły instrumenty wiejskich muzyków, paradne stroje wędrowały do skrzyń. W niektórych rejonach Sądecczyzny, np. u Górali Łąckich, w “półpościu” (najczęściej w trzecią środę po Popielcu) odbywało się tzw. ważenie żuru, polegające na zawieszaniu na drzewie garnka z żurem, czasem również wylewania zawartości na zgromadzonych, co miało przypominać, że połowa uciążliwego okresu już minęła. Zbliżone w charakterze zabawy z żurem odbywały się też w Wielkim Tygodniu, na sam koniec postu.

Właściwym wprowadzeniem do obchodów Wielkanocy jest **Niedziela Palmowa**, zwana też Niedzielą Kwietną, rozpoczynająca Wielki Tydzień. W dniu tym święci się powszechnie palmy. Sądecczyzna jest regionem słynącym z pięknych palm, zaliczanych do najokazalszych w skali całej Polski. Szczególnie u Lachów Sądeckich i Górali Łąckich do dziś zachował się zwyczaj robienia wysokich, kilku lub nawet kilkunastometrowych palm. Ich rdzeń stanowi jodłowa lub leszczynowa żerdź, do której przymocowuje się spiralnie lub kępkami gałązki kwitnącej wierzby z baziarni, zielone pędy barwinku, leśnego bluszczu lub bukszpanu, a jako zwieńczenie sporządza się kitę lub krzyż z popularnej w tym regionie trawy — wiechliny trzciniastej, zwanej po wsiach “palmą”. Gotowa palma ozdobiona jest pękami kolorowych wstążek i bibułkowymi kwiatami. Dawniej dolną część palmy obwiązywano powszechnie biczem pasterskim konopnym lub rzemiennym, używanym później przez pastuchów do rozmaitych zabiegów magicznych związanych z hodowlą zwierząt. Wysokie palmy święcili kawalerowie, niosąc je w kilka osób ze względu na wielkość i ciężar. Imponująco wyglądał w kościołach w Podegrodziu, Łącku czy Jazowsku cały “las” kolorowych palm, sięgających po sklepienie nawy. Kobiety i młodsze dzieci święciły mniejsze palemki sporządzane z pęków “baziak” i trawy — palmy, również przystrojone żywą zielenią i sztucznymi kwiatami. Mniejsze palmy, do jednego lub dwóch metrów wysokości, robiono na Pogórze i Łemkowszczyźnie. Składały się one najczęściej z wierzbowych gałązek z baziarni, zwanych tu “bagniętami”, leszczyny, trzciny wodnej, a niegdyś — gałęzi cisu. Chłopcy łemkowscy na Kwitnu Nedilu kręcili specjalnie nowy liny powrózek na bat, którym wiązali palmę — “bahnitku”.

Poświęcona palma służyła do wielu czynności magicznych, mających na celu zapewnienie zdrowia ludziom i zwierzętom, ochronę domostwa przed ogniem, piorunem i złymi mocami, a także zabezpieczenie pól przed kłeskami żywiołowymi. I tak, po powrocie z kościoła trzykrotnie obchodzono z palmą całą zagrodę, również trzykrotnie uderzając w każdy węgieł budynków “aby nie legły się pchły, muchy i inne robactwo” (Pogórze, Lachy Sądeckie). Następnie głaskano lub dotykano nią (znów po trzykroć) wszystkie zwierzęta (krowy, konie, owce), “żeby się darzyły”





*Sądeckie palmy wielkanocne. Nowy Sącz, 1976 r. Fot. M. Maszczak*

i żeby im czarownice nie szkodziły, a także ludzi — “na zdrowie”. Na Pogórzu większe palmy zostawiano w kącie stajni, a małe w stajennym okienku, dla zabezpieczenia była przed zarazą. Powszechnie zatykano małe palemki w izbie za obrazy, “żeby się domowi szczęściło”. Domownicy tykali bazie urwane z palmy “od bólu gardła”, przeziębień i chorób żołądka (powszechne). Łemkowie dawali je także do jedzenia krowom, podkładali “na pomyślność” do węglów nowo stawianych domów, przechowywali do okadzania chorych. Pod koniec Wielkiego Tygodnia (w czwartek, piątek lub sobotę) rozbierano palmy na części. Pojedyncze gałązki wierzbowe zatykano na strychu za krokwie, w spichlerzu za tragarz, by chroniły przed uderzeniem pioruna. W czasie burzy wystawiano je w oknach lub dymem z nich okadzano domostwo. Z gałązek palmy robiono ponadto różnej wielkości krzyże, wiązane wtką wierzbową. W Poniedziałek Wielkanocny przed świtem gospodarz wynosił większe krzyże na pola i zatykał je w narożach lub na granicach zagonów “na urodzaj” oraz jako zabezpieczenie przed klęskami żywiołowymi: gradobiciem, huraganem czy suszą. Małe krzyżyki zawieszano nad drzwiami chałupy, stajni i innych budynków gospodarczych — dla ochrony przed wszelkim złem. Ponieważ krzyży tych nie zdejmowano, a co roku dodawano nowe, po wielu latach było ich na budynkach po kilkanaście.

Dzisiejsza interpretacja zwyczaju święcenia palm jest już, oczywiście, wyłącznie chrześcijańska i dotyczy triumfalnego wjazdu Pana Jezusa do Jerozolimy.



*Dzieci z mniejszymi palemkami. Podegrodzie, 1976 r. Fot. A. Dąbrowski*



Natomiast samo tworzywo palmy: żywe baze, gałązki stale zielonych roślin, jak i wspomniane wyżej czynności magiczne z nią związane, są według etnografów śladami wcześniejszej funkcji obrzędowej, łączącej się z pradawnymi świętami agrarnymi równocy wiosennej.

Kulminacja wielkotygodniowych praktyk obrzędowych, czynności kultowych, zabiegów magicznych, wróżb i zakazów następowała w drugiej jego połowie, od **Wielkiego Czwartku**. W tym dniu milkły dzwony kościelne, zawiązywane aż do Wielkiej Soboty. W całym regionie po wsiach chodziły grupy chłopców klekoczących drewnianymi kołatkami — “kłapackami”. U Łemków, podczas wielkoczwartkowego nabożeństwa, zwanego “strast”, w czasie którego ksiądz czytał 12 razy Ewangelię, parobcy trzymali powrózki z palmy, przeznaczone na bicze. Po każdym odczytaniu Bożego Słowa wiązali na nich supeł. Było ich w sumie 12. Wierzono, że gdyby podczas wypasu bydła zgubiła się jakaś sztuka, rozwiązanie jednego supełka na biczu pomoże w odnalezieniu zwierzęcia.

W Wielki Czwartek wieczorem powszechnie rozpalano ogniska na łąkach lub wzgórzach nad wsią. Zwyczaje z tym związane, jak i ich interpretacja były różne w poszczególnych częściach regionu. Najczęściej ogniska rozpałała młodzież męska, a palono w nich gałęzie, słomę z powróseł ściąganych w tym dniu z drzewek owocowych (zakładanych w zimie na św. Szczepana), śmieci wymiatane z obejść. W wielu wsiach (szczególnie na wschodzie regionu, na Pogórzu i Łemkowszczyźnie) palenie ognisk w Wielki Czwartek łączone jest ze zwyczajem “palenia Judasza”. Było to spalanie w ogniu słomianej kukły lub tylko tłumoków ze słomy czy starych szmat, względnie odpalanie od ognisk słomianych “kicek” (starych snopków z dachu) przywiązanych do żerdzi. Chłopcy, biegnąc z płonącymi żagwiami wkoło ognia, wołali:

*“Juda, Juda!*

*A jakbym go nie spolił, tobym się go boł!*

*A jak go społę, to się go nie boję!”*

lub:

*“Pal się Judasie bezbożniku,*

*Co sprzedałeś Chrystusa za trzydzieści srebrników”* (Pogórze)

Miejscami ten zwyczaj był bardziej rozbudowany i przybierał formę “sądu” nad Judaszem — kukłą ze szmat i słomy, którą wieszano na drzewie, a po ogłoszeniu “wyroku” palono w ognisku. Czasem Judasza przed spaleniem zrzucano z wieży kościelnej, dzwonnicy, albo topiono w rzece.

Zespół opisanych wyżej zwyczajów stanowi dobry przykład przemieszania się i nałożenia na siebie w ciągu wieków nowszych wątków chrześcijańskich (pamiętka śmierci Judasza — zdrajcy) ze starszymi, pogańskimi, o wyraźnie zadusznym charakterze. Natomiast sam obrzędowy wątek “uśmiercania” (palenia,

wieszania, topienia) kukły słomianej (Judasza) jest prawdopodobnie chrześcijańską transpozycją starego pogańskiego obrzędu symbolicznej “śmierci zimy”, czyli tzw. topienia Marzanny. Zwyczaj ten, powszechny w wielu regionach Polski, na terenach Karpat znany był tylko na Podhalu i Orawie pod nazwą “śmierztecki”. Odbywał się podczas Wielkiego Postu, w tzw. Białą Niedzielę (trzecią przed Wielkanocą) i polegał na obnoszeniu po wsi przez dziewczęta ubranej na białą kukły, zbieraniu od gospodarzy pieniędzy i jajek, a następnie topieniu “śmierztecki” w rzece.

**Wielki Piątek**, upamiętniający mękę i śmierć Pana Jezusa, był dniem najbardziej surowego postu. Wielu mieszkańców wsi spędzało go dosłownie o kawałku chleba i wodzie, inni jedli jedynie postną “kapuśniorkę” lub ziemniaki gotowane w łupach (Lachy). W dniu tym obowiązywało wiele zakazów magicznych charakterystycznych dla świąt zadusznych oraz nawiązujących do tradycyjnej obrzędowości pogrzebowej. Nie wolno było orać, wykonywać czynności związanych z rąbaniem, przybijaniem, tłuczeniem, kłuciem, krojeniem, według nowszej interpretacji, “aby nie jątrzyć ran Chrystusa”. Według powszechnej tradycji ludowej dzień ten, podobnie jak dzień św. Łucji, uważano ponadto za szczególnie sprzyjający działaniom złych mocy (zwłaszcza czarownic), a z drugiej strony — za czas stosowny do wykonywania magicznych zabiegów zabezpieczających przed czarami. Pilnowano w tym dniu stajni, aby nie dostała się do niej czarownica, sprawdzano wszystkie zakamarki zagrody, czy nie podrzuciła “czarów” (np. kłębka sierści bydłowej), za pomocą których mogła “psuć” krowom mleko. Nie wolno było tego dnia nic z domu pożyczać, a zwłaszcza naczyń i rzeczy związanych z udojem, jak np. skopiec czy powązka (cedzidło), nie wolno było też szorować garnków na mleko.

W całym regionie żywa jest tradycja obrzędowej kąpeli w bieżącej, “żywej” wodzie, tj. rzece lub potoku (najlepiej “krzyżowym”), odbywanej całymi rodzinami w Wielki Piątek wcześniej rano, przed wschodem słońca. Matki często nabierały wodę z rzeki i myły w niej po powrocie do domu małe dzieci. Wierzono, że woda w tym dniu ma uzdrawiającą moc, tak więc wielkopiątkowe obmywanie się miało zapewnić zdrowie, zwłaszcza zaś chronić od krost, liszajów, wrzodów, świerzbu i chorób oczu. We wsiach pogórzkańskich wodę rzeczną do mycia przynoszono do domu, a wylewano ją przed północą z piątku na sobotę. Uważano, że tym zabiegiem “wyleje się” z domu wszystkie choroby. Podczas obrzędowego mycia, w niektórych częściach regionu matki uderzały dzieci gałązkami wierzbowymi, mówiąc: “*Boże rany, Boże rany, Chrystus był ukrzyżowany!*” (Góraliszczynna). Wodą z potoku gospodynie obmywały również w tym dniu wymiona krowom, aby dawały dużo mleka.

Z Wielkim Piątkiem wiąże się wiele zabiegów magii rolniczej. Gaźdżiny góralskie w tym dniu o świcie sadziły czosnek wierząc, że będzie skuteczny w chorobach; groch — by był “urodny”. Przewiązywały powróżkami drzewka w sadzie, po wyrobieniu chleba ocierały ręce z ciasta o pnie drzewek “na dobry urodzaj”, analogicznie jak w Wigilię Bożego Narodzenia. Z pogody w tym dniu wróżono

urodzaje: *“Jak w Wielki Piątek mróz — będzie siana pełen wóz”*, jeśli rano jest dużo rosy na trawie — będzie dobry zbiór zbóż, jeśli pada deszcz — siano i zboże nie udadzą się. Po południu gospodynie góralskie “wyrzucały post”, rozsypując po polu popiół i tłukąc garnek, w którym go przyniosły. W całym regionie młodzież urządzała uroczyste “wieszanie żuru” w garnku na drzewie, połączone z wylewaniem uprzykrzonej potrawy na uczestników tej zabawy i rozbijaniem garnka. U Lachów Sądeckich “pogrzeb żuru” odbywał się w Wielką Sobotę. W gliniany garnek z żurem zawieszony na drzewie rzucano kamieniami, a kto pierwszy go rozbił, dostawał w nagrodę poczęstunek ze święconego.

W kościołach kobiety i dziewczęta ubierały w Wielki Piątek Boży Grób, dekorując go zwykle zielonym owsem posadzonym w skrzynkach i mirtem w doniczkach. Przy Grobie obejmowała wartę straż. Najczęściej byli to członkowie wiejskiej straży pożarnej w paradnych mundurach, w hełmach i z toporkami lub włóczniami. Czasami straż Grobu występowała w specjalnie robionych mundurach, nawiązujących do historycznych strojów wojskowych, np. kosynierów, lub ubiorów staropolskich (Pogórze). Warto wspomnieć w tym miejscu o ciekawej i bardzo efektownej formie straży Grobu Pańskiego oraz zwyczajach z nią związanych, występujących nieco dalej na wschód od Sądecczyny, w kilku wsiach w okolicach Przeworska i Niska, a mianowicie o tzw. turkach. Ubierali się oni w stroje wzorowane na mundurach łańskich z czasów Księstwa Warszawskiego, bądź w fantazyjne, bogato zdobione ubiory, wywodzące się ponoć z tradycji tureckiej z okresu wyprawy wiedeńskiej. Oddziały “turków”, poza tym, że trzymają wartę przy Grobie, urządzają w oba dni świąt wielkanocnych dla mieszkańców wsi efektowne widowisko, na które składają się pokazy musztry, przemarsze drużyny, “parada” z orkiestrą, a także chodzenie po domach z życzeniami, za które otrzymują poczęstunek z wódką. Zwyczaj straży Grobu Pańskiego wywodzi się z dawnych misterii wielkopostnych o Męce Pańskiej, niegdyś powszechnych, które zaginęły w Polsce na początku XVIII w. Na Podkarpaciu przetrwały one do dziś jedynie w Kalwarii Zebrzydowskiej.

**Wielka Sobota** jest dniem obrzędów kościelnych, związanych ze święceniem ognia, wody, a także potraw wielkanocnych. I tu znów w bogactwie zwyczajów przetrwały ślady wielu tradycji starszych niż chrześcijaństwo. Podczas uroczystości święcenia ognia i wody przed kościołem roznieca się ognisko, w którym powszechnie spala się ciernie z głogu i tarniny. W niektórych wsiach pogórzeńskich wrzucano do niego również stare, zniszczone krzyże i obrazy religijne. Chłopcy przynosili na to nabożeństwo wiązki długich prętów leszczynowych, często związanych — jak palma — nowym batem konopnym lub lnianym. Do najwyższego pręta (później — drutu) przywiązana była huba bukowa (Pogórze), jodłowa lub z jabłoni (okolice Łącka). Pręty po poświęceniu opalano w ogniu i zapalano od niego hubę. Tłącą się, trzeba było szybko donieść do domu. Okadzano nią sad, “żeby drzewka dobrze owocowały”, stajnie i owczarnie, “żeby było i owce nie chorowały”, a na koniec zanoszono do



***Chłopcy z wiązkami leszczyny przed święceniem ognia w Wielką Sobotę. Dobra k. Limanowej, 1930 r. Fot. L. Węgrzynowicz***

chałupy. Po okadzeniu wszystkich kątów "od złego", rozpalano od święconej huby ogień domowy na kuchni "na cały rok". Ogień ten stale podtrzymywano, zgarniając na noc w kącie nalepy lub w piecu chlebnym i przykrywając popiołem, żeby nie wygasł. W okresie II Rzeczypospolitej, obok święcenia hub rozpowszechnił się zwyczaj poświęcania w Wielką Sobotę zapalek, używanych później do rozpalania ognia pod kuchnią (Górale Łąccy, Lachy). Opalone w święconym ogniu patyki laskowe zatykano w zagony na ogrodzie, wkładano pod pierwszą skibę przy wiosennej orce, przechowywano je też do ochrony w czasie burzy "od pioruna". Wodę święconą nabierano do flaszek, do których wrzucano również ogarki z ogniska, a po przyjeździe do domu skrapiano nią wszystkie kąty w mieszkaniu i w stajniach. We wsiach koło Łącka używano jej również do kropienia krów i gęsi przed pierwszym wypasem, koni przed wyjściem na pierwsze wiosenne prace w polu, a także świeżo wyklutych piskląt. W Wielką Sobotę kontynuowano również zabiegi magiczne związane z urodzajem. Na odgłos dzwonów kościelnych bijących po dwóch dniach milczenia, gospodynie sadziły rozsądę kapusty, "aby głowy były wielkie i ciężkie", w sadach potrząsano konarami drzewek owocowych, "żeby się obudziły ze snu i rodziły owoce", a kto chciał mieć dużo pieniędzy, potrząsał w kieszeni grosiwem (Lachy Sądeckie).

Ważnym obrzędem wielkosobotnim było święcenie potraw na święta, zwanych w naszym regionie święconką, święceliną lub święcenią. Dawniej na wsi święcono duże ilości jadła. Biedniejsi brali do koszy lub zawiąteń z płachty wszystko, co było przygotowane na święta. Święcono przede wszystkim wielki bochen domowego chleba, kilkadziesiąt jaj, szklankę soli, oskrobane korzenie chrzanu, osetkę masła, flaszkę octu, ser biały, u górali też owoce "syrki", kiełbasy, słoninę, kto miał — wędzoną szynkę, a także kołaczki i słodką pszenną bułkę. Chleb często niosła druga osoba, bo nie mieścił się w koszu. Święcelinę ozdabiano wianuszkiem jajek barwionych na jeden kolor lub (rzadziej) wzorzyście malowanych "pisanek". Pośrodku stawiano baranka z ciasta, pieczonego w specjalnej formie, a w czasach późniejszych — kupnego, cukrowego. U Łemków główne miejsce w święconym zajmowała tzw. paska, czyli białe pieczywo wielkanocne. Natomiast w niektórych wsiach koło Łącka (np. w Maszkowicach) święcono również tzw. podskrobek, czyli placek z resztek ciasta, wyskrobanych z dzieży. Przeznaczony był on dla krów i cieląt. Po powrocie do domu ze święcenia obchodzono z koszem domostwo trzykrotnie, "aby się darzyło". U Lachów Sądeckich obnoszono po całym obejściu tylko jajka święcone — "żeby myszy nie robiły szkód w spichlerzach, stodołach i piwnicach". Tu też gospodynie po przyjeździe z kościoła dawały dzieciom chleb ze święconym masłem "od bólu gardła". W niektórych wsiach Pogórza święconym chrzanem pocierano koniom zęby, aby były zdrowe, a krowom nozdrza spyrką — od ukąszenia bąków.

Wśród święconego jadła szczególną rolę odgrywały jajka. Warto wspomnieć, że jajko, jako załączek nowego życia, było jednym z najważniejszych pradawnych

symboli wiosennych obrzędów, wiążącym się przede wszystkim z płodnością, lecz także z kultem dusz zmarłych. Jajko malowane (szczególnie na kolor czerwony) znane było jako obrzędowy, magiczny atrybut od starożytności. W zachodniej części Sądecczyzny, u Łachów i Górali Sądeckich, robiono tradycyjnie tzw. kraszanki, czyli jajka malowane tylko na jeden kolor. Do barwienia łupek używano dawniej rozmaitych naturalnych barwników, z których najpowszechniejszym były łupiny cebuli (kolor żółty i pomarańczowy), młode pędy owsa lub żyta (jasnozielony), kora dębu lub kruszyny (różne odcienie brązu). U Łemków i na Pogórzu występowały także tzw. pisanki, czyli jajka wzorzyście zdobione, często wielobarwne. Starszą, szlachetną techniką zdobienia była tzw. technika batikowa, czyli "pisanie" wzorów na skorupce jajka roztopionym woskiem przy pomocy blaszanego pisaczka lub szpilki, a następnie barwienie w farbie. Wielobarwne wzory uzyskiwano zanurzając jajko w kolejnych (coraz ciemniejszych) kolorach farb, za każdym razem dopisując następną partię wzorów woskiem. Po wyschnięciu skorupki wosk, rozgrzany nad ogniem, ścierano lub zeszkrobywano. Nowszą techniką zdobniczą było wydrapywanie misternych wzorów ostrym nożykiem lub żyłką. Wspomniane sposoby zdobienia pisanek w zachodniej części regionu pojawiły się znacznie później, jako zwyczaj wtórny, rozpowszechniony przez szkoły i niektórych regionalistów.

Kraszanki i pisanki robiły kobiety i dziewczęta w Wielką Sobotę rano. Panny obdarowywały później nimi narzeczonych lub wybranych kawalerów, matki chrzestne dawały je swoim chrześniakom. Z pisankami wiązały się też pewne czynności magiczne. Poza wspomnianym już obchodzeniem domostwa, wodą, w której gotowały się jajka zmywano krowom wymiona "przed czarownicami", matki myły nią buzie dzieciom, "żeby były okrągłe i gładkie", a panny — nogi "dla urody".



**Tradycyjne pisanki łemkowskie,  
wykonane techniką batikową. Łabowa.  
Fot. P. Drożdżik.**



**Niedziela Wielkanocna** uważana była za największe święto w roku — obok Bożego Narodzenia. Obowiązywał w tym dniu, podobnie jak w Godnie Święto, absolutny zakaz wykonywania jakichkolwiek prac, łącznie z zmiataniem śmieci, ścieleniem łóżek, gotowaniem. Nie wolno też było chodzić w gości. Tak więc, po całotygodniowych przygotowaniach, porządkach robionych na początku Wielkiego Tygodnia i szykowaniu święconego jadała w piątek i sobotę — był to dzień zupełnego wypoczynku, spędzany w domu, z rodziną, przy tłustym, dobrym jedzeniu. Gospodarzom nie wolno było jednak kłaść się spać w ciągu dnia, ani nawet odpoczywać na leżąco, “żeby zboże nie zległo”. Do kościoła szło się najtłumniej na rezurekcję, bardzo wcześnie rano. We wsiach pogórzańskich znane było zwyczajowe budzenie i zwoływanie na rezurekcję. W tym celu, już około drugiej w nocy, biegali po wsi chłopak (lub dziad) z bębniem, albo mężczyźni, zapalivszy maźnice do wozów, chodzili z ogniem od domu do domu, wołując gospodarzy. Zwyczaj ten miał również funkcję magiczną: wierzono, że dzięki temu w czasie wyпасów “złe” nie będzie miało dostępu do ludzi i zwierząt. W miasteczkach i dużych wsiach parafialnych rozpowszechniony był zwyczaj strzelania w porze rezurekcji “na wiwat” z moździerzy, “na chwałę Zmartwychwstałemu”. Mali chłopcy często wymykali się z domów, by asystować tej kanonadzie. Podczas mszy, której towarzyszyła uroczysta procesja obchodząca trzykrotnie kościół, obserwowano pilnie, czy wszystkie kobiety do końca uczestniczą w tym obrzędzie. Powszechne było bowiem wierzenie, że czarownica, która “psuje” mleko, nie może iść z tą procesją dłużej, niż jeden raz. Po mszy wszyscy starali się jak najszybciej wrócić do domu, “żeby wcześniej i pomyślnie ukończyć wiosenne prace rolne i żniwa”. U Łemków ten zwyczaj dotyczył powrotu ze święconą “paską” w Wielką Sobotę.

Po powrocie z kościoła jedzono uroczyste śniadanie. Zarówno u Łachów, jak i na góralszczyźnie była to zwykle tzw. “święćcelina” lub “chrzanówka”, czyli wszystkie składniki święconki: jajka, wędliny, ser, chrzan, chleb itp. drobno pokrojone i zalane serwatką, maślanką lub kwaśnym mlekiem. U górali było to często mleko, składane przez cały czas postu. W części regionu “święćcelinę” jedzono dopiero w południe, a rano, po rezurekcji, podawano jajka, chleb z masłem i chrzanem, kielbasę, a na koniec słodkie kołaczki z białą kawą. Powszechnie przed rozpoczęciem śniadania dzielono się jajkiem, składając sobie życzenia. W niektórych okolicach dzielono się święconym jadłem ze zwierzętami, “aby się zdrowo chowały” (Lachy). Nigdzie natomiast nie dawano resztek święconego kurom, “bo gubiłyby jajka”. Okruchy z paski Łemkowie zawiązywali w szmatkę i potem dodawali do ziarna siewnego, “żeby urodziło się piękne zboże na nową paskę”. Skorupek ze święconych jaj nie wolno było wyrzucać “byle gdzie”, przypisywano im bowiem magiczną moc. Najczęściej zakopywano je lub rzucano na gałęzie drzew owocowych i w grządki kapusty “na urodzaj”, zasypywano w kretowinach, “żeby krety nie ryły na polach”. W tym samym celu zakopywano w ziemi kości ze święconego mięsa. W nocy



***Krzyż z palmy wielkanocnej, zatknięty w polu. Marcinkowice, 1976 r.  
Fot. M. Maszczak***

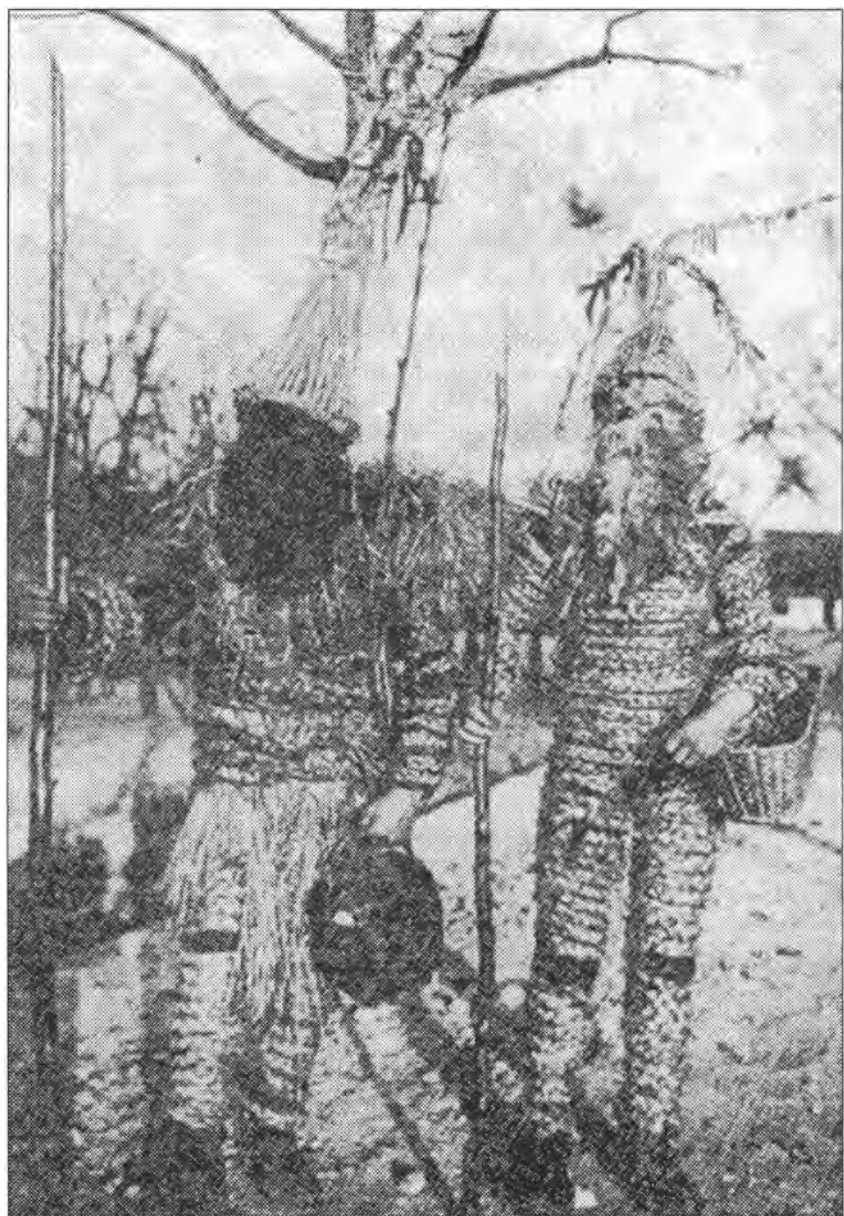
z Wielkiej Niedzieli na Poniedziałek odbywały się, wspomniane już wcześniej, uroczyste święcenia pól, polegające na kropieniu ich wodą święconą, zatykaniu w zagony krzyży ze święconych palm oraz prętów laskowych, opalonych w “świętym ogniu” wielkosobotnim. Na pola szło się po północy, gromadnie, całymi “procesjami” lub rodzinami. W niektórych rejonach Pogórza (np. w okolicach Gorlic) zwyczaj ten połączony był z rozpalaniem ognia wokół wsi. Wracając ze święcenia swoich pól, gospodarze i młodzież przychodzili do ognisk, tam jedzono, pito, skakano przez ogień, bawiono się prawie do rana. W obrzędzie tym jest wiele podobieństw do ognia sobótkowych. Nad ranem uczestnicy zabawy wracali do wsi, gdzie chłopcy płatali różne, często złośliwe psoty. Zamalowywali szyby błotem lub wapnem, zatykali komin wiechciem słomy, wynosili psią budę na dach, rozbierali wóz i montowali go na stodole itp. Tam, gdzie mieszkaly panny, zapierano drzwi wejściowe słomianą kukłą, zwaną dziadem. Zwyczaj “figlowania” w tę noc był rozpowszechniony na całej Sądecczyźnie, a psotników grasujących po wsi nazywano “despekciarzami”.

**Poniedziałek Wielkanocny** był dniem wesołym, spędzonym głównie poza domem, zdominowanym przez tzw. śmigus lub “chodzenie po dyngusie”. Zwyczaj obrzędowego oblewania się w tym dniu wodą praktykowany był w Polsce południowej i środkowej. Występował powszechnie na całej Sądecczyźnie, przy czym dawniej polegał głównie na wzajemnych odwiedzinach i składaniu sobie życzeń, połączonych z oblewaniem wodą gospodarzy i wszystkich domowników. Później przybrał formę zabawy młodzieży, przede wszystkim zaś oblewania panien przez wiejską kawalerkę. W ogólnej zabawie “śmiguśnej” czynny udział brały również dzieci. Oblewanie się wodą jest według etnografów zrytualizowaną praktyką magiczną, wykonywaną pierwotnie w porze wiosennej, mającą na celu zapewnienie uprawom dostatecznej ilości opadów.

Na Sądecczyźnie, w okolicach Dobrej k. Limanowej, praktykowany był ciekawy obrzęd chodzenia w Poniedziałek Wielkanocny po wsi tzw. dziadów śmigustnych. Byli to chłopcy poprzebierani w stroje ze słomy, z wysokimi słomianymi czapami i laskowymi kijami. Chodząc po domach “zbytkowali”, łapali panny i straszili dzieci, tańczyli do rytmu wystukiwanego laskami, wydając z siebie odgłosy “turkania”, “ukania” i mruczenia, domagali się datków. Niekiedy jeden z mężczyzn przebrany był za kobietę ze szmacianą kukłą — dzieckiem. Od domowników dostawali jajka i żywność i byli znienacka oblewani wodą. Wierzono, że ich przyście zapewni domownikom zdrowie, a gospodarstwu pomyślność. Podobny zwyczaj zachował się również na Pogórzu poza Sądecczyznę. Chodziły tam tzw. draby lub “śmigurty”, podobnie poprzebierane chłopcy, wygłaszały wierszowane oracje i życzenia, zbierały datki i też byli oblewani wodą. Uwagę zwraca podobieństwo tych przebierańców do “drabów” noworocznych.

Zwyczaj odwiedzenia się, wspólnego uctowania i składania życzeń kończyły cykl obrzędów wielkanocnych. Dawniej przenosiły się one również na wtorek po





*Dziady śmigustne. Dobra k. Limanowej, 1920 r. Fot. L. Węgrzynowicz*

Wielkanoc, zwany trzecim dniem świąt. W tym dniu w wielu wsiach chodzili po domach i otrzymywali datki ludzie pełniący różne służby we wsi, np. kościelny czy grabarz.

Bogata i złożona z wielowiekowych wątków obrzędowość wielkanocna Sądecczyny dotrwała w dość dobrym stanie do dziś. Choć ich interpretacja jest już często wtórna lub nie ma jej wcale — wiele zwyczajów kultywowanych jest obecnie po prostu z bardzo silnego w naszym regionie przywiązania do kultury “ojców”.

#### **Ważniejsze publikacje wykorzystane w artykule:**

1. Krystyna Kwaśniewicz, “Rok obrzędowy” w: “Studia z kultury ludowej Beskidu Sądeckiego”.
2. Zofia i Stanisław Chrząstowscy, “Folklor Lachów Sądeckich”.
3. Jan Bujak, “Ludowe obrzędy doroczne w okolicach Rabki”.
4. “Nad rzeką Ropą, zarys kultury ludowej powiatu gorlickiego”. Praca zbiorowa.
5. Andrzej Karczmarzewski, “Obrzędy i zwyczaje doroczne wsi rzeszowskiej”.

---

## **ZARYS DZIEJÓW ZAKŁADU PIWOWARSKIEGO BROWAR “GRYBÓW” W LATACH 1830–1945**

Pierwsza wzmianka o Browarze w Siołkowej (obecnie Browar Grybów) pochodzi z roku 1804, jednak materiały źródłowe nie podają, kim był jego założyciel. Bardziej sprecyzowane materiały to dane dotyczące I połowy ubiegłego stulecia, to jest około roku 1830. Wówczas rząd austriacki sprzedał miasto Grybów wraz z szesnastoma wsiami należącymi do starostwa w Grybowie baronowi pochodzenia austriackiego, **Ferdynandowi Hoschowi**.

W majątku barona Hoscha znajdowało się siedem małych browarów i wielkie gospodarstwo rolne (folwark). Największym z tych browarów produkującym piwo na potrzeby folwarku i na sprzedaż, był browar w Siołkowej. Browar ten w późniejszym czasie został wydzierżawiony Żydom.

W roku 1870 do Grybowa przybywa **Franciszek Paschek**, znakomity piwowar pochodzenia węgierskiego. Paschek postanawia wykupić dobrze prosperujący w tym czasie browar barona Hoscha. W pertraktacjach handlowych dochodzi do porozumienia, lecz w dalszych działaniach handlowych na przeszkodzie stają dzierżawiający zakład piwowarski Żydzi.

Paschek jednak nie daje Żydom za wygraną, postanawia użyć podstępów. Znając doskonale prawo austriackie, wykupuje od barona Hoscha tereny na tak zwanych Strzylawkach Siołkowskich, sąsiadujące bezpośrednio z browarem oraz teren, na którym był zlokalizowany zakład piwowarski.

W ten oto sposób Franciszek Paschek został właścicielem browaru, gdyż, według prawa austriackiego, właściciel ziemi jest również właścicielem i posiadaczem wszystkich dóbr znajdujących się na niej, czyli wszelkiej nieruchomości.



Po uzyskaniu browaru Paschek przystąpił ze zdwojoną energią do modernizacji i rozbudowy zakładu piwowarskiego. Jako doskonały fachowiec w tej dziedzinie pragnie stworzyć duży i nowoczesny zakład piwowarski. Na własnym gruncie odkrywa złoża kamienne, skąd uzyskuje nieograniczoną ilość materiału budowlanego, potrzebnego do rozbudowy browaru, zatrudnia ludzi.

Bogate plany oraz perspektywiczną rozbudowę zakładu przerywa jego nagła śmierć. W roku 1915 browar przejmuje jego syn, również Franciszek, który kończy rozpoczętą przez ojca rozbudowę i modernizację zakładu piwowarskiego.

**Franciszek Paschek II** był żonaty z rodowitą Francuzką Marietą, którą poznał, uczestnicząc w walkach wojennych pod Verdun w 1916 roku.

Po ukończeniu modernizacji i rozbudowy zakładu, Paschek pozyskuje nowych odbiorców, z wielkim powodzeniem sprzedaje swój produkt na terenie monarchii austro-węgierskiej. W tym czasie w zakładzie browarskim Franciszka Paschka wytwarza się następujące gatunki piwa: "Marcowe" — 12' Błg, "Boch" — 18' Błg, "Porter" — 22' Błg.

Wszystkie produkowane gatunki piwa w browarze Paschka były wysokiej jakości, o czym świadczą zdobyte nagrody na wystawie piwa w Wiedniu w latach 1911, 1914 i 1917, gdzie produkt ten zdobył złoty medal. Produkowane piwa w Siołkowej zdobywają wielu zwolenników i nowych odbiorców. Dlatego handel jest bardzo duży.

Ze związku małżeńskiego Franciszka Paschka i Marietty (Marii) rodzi się syn, który także otrzymuje imię po dziadku i ojcu, Franciszek.

W roku 1924, kiedy browar jest w pełnej produkcji piwa i szerokiej sprzedaży, umiera Franciszek Paschek II, a browar dziedziczy syn, który po śmierci ojca był jeszcze małoletni, czyli **Franciszek Paschek III**.

W imieniu swojego syna, który jeszcze nie był pełnoletni, zakładem kieruje i zarządza Marietta Paschek (Maria Paschek) wdowa po zmarłym Franciszku II i matka nieletniego Franciszka Paschka III.

Maria była kobietą energiczną i stanowczą a zarazem skromną i przystępną. W zakładzie piwowarskim i gospodarstwie rolnym (folwarku), którym zarządzała, zatrudniała kilkudziesięciu pracowników. Byli to pracownicy stali, rekrutujący się z miasta Grybowa i przyległych wiosek. Praca w tym zakładzie i gospodarstwie przechodziła z ojca na syna.

Pracownicy podzieleni byli na dwie grupy:

Jedną grupą pracowników, to pracownicy zatrudnieni przy produkcji piwa w zakładzie piwowarskim.

Drugą grupą, to pracownicy zatrudnieni w gospodarstwie rolnym, zwani "służącymi".



***Panorama Grybowa pocz. XX w.***

Pracę w gospodarstwie rolnym nadzorował i kierował człowiek powołany przez Marię Paschek, zwany "rządcą". Płody rolne przeznaczone były na potrzeby gospodarstwa (folwarku) i zakładu piwowarskiego.

Produkcją piwa w zakładzie piwowarskim zarządzał "kierownik", który otrzymywał wynagrodzenie miesięczne w kwocie sześćset złotych. Potrzebne surowce do produkcji piwa (jęczmień i chmiel) sprowadzano z Wielkopolski, Lubelszczyzny, a nawet z okolic Lwowa.

Zakład piwowarski składał się z następujących działów, zmodernizowanych lub wybudowanych:

1. Warzelnia, wybudowana w 1893 roku.
2. Słodownia, wybudowana w 1906 roku.

Wybudowano również i zmodernizowano:

3. Fermentownię.
4. Leżakownię.

5. Warsztat bednarski.
6. Magazyn lodu.
7. Magazyn produktów gotowych.
8. Zmodernizowano pomieszczenie obciążu beczkowego i butelkowego oraz kotłownię, w której pierwszy kocioł "RINGHOFFER" pochodził z 1908 roku.

Jak wcześniej wspomniano, piwo z browaru Franciszka Paschka, a później jego żony Marii, charakteryzowało się wysoką jakością. Niepoślednią rolę w tym miały naczynia browarniane, w których produkty zakładu przechowywano. Były to naczynia wykonane w warsztacie bednarskim.

Takimi wielkimi browarnianymi naczyniami były wielkie dębowe kufy, kadzie fermentacyjne o pojemności od 15 do 30 hl, różnego rodzaju beczki i beczutki o pojemności od 12,5 do 100 litrów. Naczynia te wytwarzane były w warsztacie bednarskim zakładu piwowarskiego na własne potrzeby.

Maria Paschek, gdy zarządzała browarem po śmierci swojego męża Franciszka, nie miała problemów ze zbytem swojego produktu. Nie trzeba było reklamować produktu z browaru w Siołkowej, piwo to już miało swoją markę i uznanie.

Głównymi odbiorcami piwa pani Paschkowej byli grybowscy Żydzi, stanowiący 95% wszystkich odbiorców. Pozostałe 5% to kupcy z terenów Bobowej, Gorlic, Jasła, Krakowa, Nowego Targu, a nawet Żywca.

W tym okresie w małym mieście Grybowie, znajdowało się sześć znakomitych piwiarni, w których podawano różnego gatunku piwo produkowane w browarze siołkowskim. Wśród klientów grybowskich piwiarni byli nie tylko mieszkańcy miasteczka i okolicznych wsi, ale widać było wielu przybyszów spoza rejonu Grybowa i okolic.

Do znanych piwiarni w Grybowie należały: Piwiarnia Fabera Nuchyma, Szlomy Finka, Klaftera, Herbachy, Ruhrera oraz rozlewnia i hurtownia piwa Adolfa Krugera.

Po wybuchu II wojny światowej produkcja piwa utrzymywała się na średnim poziomie, a nawet następowała powoli tendencja malejąca. Spowodowane to było mniejszym popytem, brakiem odbiorców oraz utrudnionym transportem. Produkcja i sprzedaż piwa stopniowo pogarszała się, zaczynało brakować surowca do produkcji, też pewne restrykcje ze strony okupanta hitlerowskiego pogarszały sytuację. W czasie niemieckiej okupacji w browarze nastąpiła zmiana na stanowisku gospodarza browaru. Nowym gospodarzem i zarządcą wszystkich dóbr Marii Paschek, został **Ronald Decker** — Niemiec z Dąbrówki koło Nowego Sącza.

Na początku 1943 roku Maria Paschek zostaje aresztowana przez gestapo i zesłana do obozu karnego w Oświęcimiu. Powód aresztowania pani Paschek jest do dziś niejasny i niezany. Przypuszczać należy, że powodem aresztowania, mógł

być syn Franciszek, ps. "Kmicic", który zbiegł przed aresztowaniem i dostał się do oddziału partyzanckiego Armii Krajowej. Innym powodem, jak sądzono, mogły być przechowywane przez Marię Paschkową żydowskie przedmioty kultu religijnego, takie jak: Święte księgi, tj. Tora i Talmud, siedmioramiennne złote i pozłacane czy srebrne świeczniki. Fakt przechowywania przez panią Paschek żydowskich precjozów prawdopodobnie zdradził pracownik browaru "furman", Józef Górski, będący na usługach niemieckiego gestapo.

Okres II wojny światowej i okupacji, jak wszystkim wiadomo, był to okres wielu zniszczeń, przed którymi to browar w Siótkowej się nie uchronił. Zniszczona została warzelnia i strych słodowni, częściowo zniszczono inne obiekty należące do zakładu piwowarskiego. Pomimo tych zniszczeń, nadal, choć w skromnych ilościach, produkcja piwa była prowadzona. Na wyraźny rozkaz Niemców wytwarzano tylko dwa gatunki piwa, to jest "Marcowe" 6' Błg, i to piwo sprzedawano wyłącznie dla Polaków oraz specjalne piwo "Marcowe" 12' Błg, sprzedawano wyłącznie dla konsumentów niemieckich. Z chwilą wycofania się Niemców z Grybowa i okolic, zaniechano produkcji piwa z powodu braku surowców i zawieruchy wojennej.

Po zakończeniu wojny Maria Paschek szczęśliwie wraca do Grybowa na swoją posiadłość i uruchamia zakład piwowarski, lecz jak się okazało na krótko. W styczniu 1946 roku wchodzi w życie "Ustawa o nacjonalizacji przemysłu" i w ten sposób browar w Siótkowej znów zmienia właściciela, zostaje własnością państwa. Jak się dzisiaj wydaje, właścicielka browaru pani Maria Paschek, miała jednak nadzieję na odzyskanie swojej własności. Dlatego też nie nosiła się z zamiarem wyjazdu z Grybowa.

Czekała też cierpliwie na syna, który po aresztowaniu przez gestapo, uciekł i dostał się na wschód do Armii gen. Władysława Andersa. Wraz z gen. Andersem przechodzi przez Iran i dostaje się do Włoch. Walczy razem z oddziałami polskimi pod Monte Cassino. Szczęśliwie przeżył okres wojny. Po wojnie osiedlił się w Austrii, gdzie pracował w firmie swojego przyszłego teścia. Umiera 27.02.1977 roku. Natomiast M. Paschek umiera w Grybowie w 1955 roku i zostaje pochowana na cmentarzu grybowskim.

## GRYBOWSKIE WARZENIE PIWA — ROZMOWA Z ANNĄ GRUCĄ

**L.M.:** Tradycje piwowarskie w Polsce sięgają zamierzchłej przeszłości. Kulturoznawcy i historycy wielokrotnie przytaczają, w kontekście starożytności i estymy jaką cieszyło się polskie piwo, zabawne opowiadki z nim związane, choćby takie, jak to, że Piast wygotował cebrzyk piwa na podstrzyżyny Siemowita, a Leszek Biały nie mógł dopełnić ślubu krucjaty w obawie, że mu w gorących krajach piwa zabraknie. Jeszcze bardziej pikantnym szczegółem powtarzonym w szacownych kronikach jest to, jakoby Konrad, proboszcz wrocławski, zrzekł się arcybiskupstwa salzburskiego na wieść o tamtejszej nieznaności piwa pszennego. Koroną naszych anegdot piwnych jest opowieść związana z papieżem Klemensem VIII, który, jako nuncjusz w Polsce, przywykł do piwa wareskiego, tak że później trawiony gorączką w obłożnej chorobie wzdychał: *“Piwa di Varca”*, zaś będący obok kardynałowie, rozumiejąc, że chodzi o nieznaną im świętość, włączyli do litanii westchnienie: *“Santa Piva, ora pro eo”*.

Znacznie młodszą przeszłość browaru grybowskiego nie otaczają tak zabawne anegdotki, ale zapewne i tutaj tradycja zachowała jakieś ciekawe szczegóły, o których może wiedzieć nie kto inny jak tylko Pani, która należy do najstarszych pracownic browaru.

**A.G.:** Warto może powiedzieć, że w czasach, gdy browar był własnością prywatną, znajdował się w rękach rodziny Paschków, właściciele kierowali jego pracą w oparciu o swoje doświadczenie, bez udziału norm zadawania surowca, wskaźników techniczno-ekonomicznych, analiz itp. Krótko mówiąc, robiło się piwo na “piwowarski nos”. Natomiast jego sprawdzanie odbywało się w bardzo prosty

sposób, w ten mianowicie, że rozlewano brzecznię na ławie, która znajdowała się w warzelnii, a następnie siadano na podstygłym płynie. Jeżeli spodnie pracownika przykleiły się do ławy, znaczyło to, że piwo będzie dobrej jakości. Oczywiście, owo przyklejenie brało się stąd, że zawartość cukrów fermentacyjnych była znaczna, taka jaka winna być w dalszych etapach produkcji. Co się tyczy smakoszy piwa grybowskiego, to zawsze się tacy znajdowali. Są również dzisiaj, głównie na Śląsku.

**L.M.:** Przejdźmy do produkcji piwa w browarze grybowskim. Pierwszym etapem w browarnictwie jest produkcja słodu.

**A.G.:** Rzeczywiście. Pamiętajmy jednak, że nie każdy browar ma własną słodownię. Wówczas musi zakupywać surowiec w dużych słodowniach w takich miejscowościach, jak: Głubczyce, Poznań, Bydgoszcz. W przypadku browaru grybowskiego przygotowanie surowca odbywa się na miejscu. Jedynie przy maksymalnym wykorzystaniu naszych zdolności produkcyjnych, które wynoszą 80 — 90 tys. hektolitrowi piwa rocznie, może nam zabraknąć około 100 ton słodu.

Słód produkuje się z jęczmienia browarowego. Ziarno kupujemy od producentów w województwie opolskim, dawniej zakupowaliśmy go także z województwa zamojskiego. Jest to jęczmień o specjalnej odmianie, jary, dwurzędowy, spełniający warunki browarnicze. Oczywiście, jeśli zachodzi konieczność, jęczmień jest czyszczony w trierosortowniku, z którego wybieramy ziarna najgrubsze, odpowiadające naszym potrzebom. Chodzi o to, aby jęczmień spełniał odpowiednie wymagania. Najważniejsze to zdolność i energia kiełkowania przekraczająca 95%. Rzecz w tym, ażeby w odpowiednim czasie prawie wszystkie ziarna kiełkowały. Wymagana jest również jednolitość jęczmienia pod względem grubości, jako że przy namakaniu ziarna cienkie szybciej kiełkują, do czego dopuszczać nie wolno. Poza tym wilgotność jęczmienia nie może przekraczać 15%. Po zmagazynowaniu jęczmień moczymy w zamaczalnikach, zużywając dziennie około 6 ton ziarna. Moczenie odbywa się przez około 72 godziny, z tym że przynajmniej co godzinę musimy bezwarunkowo dostarczyć ziarnu tlenu. Jęczmień oddycha podczas moczenia i gdybyśmy zaniechali dostarczania mu tlenu, ziarna zostałyby po prostu uduszone, tracąc konieczną zdolność kiełkowania.

Celem moczenia jęczmienia jest doprowadzenie go do stanu wilgotności wynoszącej od 43 do 45%. W tej fazie jęczmień kierujemy na klepisko i układamy w grzędy o wysokości kilkudziesięciu centymetrów, aby ociekła tzw. woda zewnętrzna, natomiast pozostała w ziarnie woda wewnętrzna. Rozpoczyna się oczkowanie i kiełkowanie. W trakcie wyrastania kiełków i korzonków, które muszą osiągnąć wymagane rozmiary, odbywa się przewracanie ziarna na grzędach co sześć godzin, drewnianymi łopatami, celem usunięcia nadmiaru dwutlenku węgla,



dostarczenia tlenu i obniżenia temperatury do poziomu 14–17 stopni Celsjusza. Faza oczkowania i kiełkowania trwa w zależności od pory roku od 4 do 7 dni, w jej trakcie zachodzą ważne przemiany biochemiczne. Następuje rozkład białka pod wpływem enzymów proteolitycznych oraz rozkład skrobi na cukry proste, pod wpływem enzymów amylolitycznych. Są to niezwykle ważne procesy wpływające w decydujący sposób na jakość słodu, który z kolei warunkuje wytworzenie dobrego piwa.

**L.M.:** Otrzymaliśmy zatem podstawowy surowiec w piwowarstwie sód, czyli ziarno jęczmienia poddane kiełkowaniu w celu wytworzenia w nim enzymów. Co dzieje się dalej?

**A.G.:** Sód po wykiełkowaniu przekazujemy do suszenia. W naszym browarze mamy typową suszarnię dwusiatkową. Najpierw sód kierujemy na siatkę górną, gdzie suszymy go przez 12 godzin w temperaturze 45 stopni do uzyskania wilgotności w granicach 8–10%, a następnie przekazujemy go na siatkę dolną w celu 12-godzinnego dosuszenia w temperaturze 85 stopni, do wilgotności słodu wynoszącej 4–5%. Wyszuszony sód transportujemy do urzędzenia zwanego odkiełkownicą. Oczywiście, oddzielone kielki nie są nam już w niczym potrzebne, wobec tego sprzedawane są jako cenna pasza białkowa okolicznym gospodarstwom wiejskim. Natomiast do magazynów kierujemy sód jęczmienny jasny, stosowany, jak sama nazwa wskazuje, do produkcji piw jasnych. Dla porządku dodajmy, że w piwowarstwie używamy również sód karmelowy, a także sód barwiący do produkcji piw ciemnych.

**L.M.:** Piwo wytwarza się ze słodu, wody, chmielu i drożdży. W technologii produkcji piwa występują dwa główne cykle. Pierwszy, otrzymywanie brzezki słodowej zawierającej cukry fermentacyjne, drugi, obejmujący fermentowanie brzezki przy użyciu drożdży i leżakowanie piwa.

**A.G.:** Oczywiście, obydwa cykle dzielą się na szereg skomplikowanych etapów technologicznych. Na początku dokonujemy rozdrobnienia słodu i surow-



ców niesłodowych, czego wynikiem jest otrzymanie tzw. śruty słodowej, którą mieszamy z wodą najczęściej w stosunku 1:4. Owo mieszanie słoðu z wodą, wraz z następującą wówczas hydrolizą enzymatyczną, a więc rozpadem głównie skrobi i białek w zmieniającej się temperaturze, nazywamy zacieraniem. W trakcie tego skomplikowanego technologicznie procesu związki nierozpuszczalne przekształcają się w rozpuszczalne i przenikają do wody. Tak przygotowany zacier poddajemy z kolei filtracji, otrzymując brzeczke niechmielową, zawierającą ekstrakt piwny. Mówiąc o zacieraniu — nie wchodząc w jego technologiczne zawikłości — zaznaczmy, że w browarze grybowskiem stosuje się stare, sprawdzone sposoby, które w języku fachowym nazywane są metodą dekoksyjną dwuwarową. Jest ona stosunkowo bezpieczna, pozwala uzyskać piwo dobrej, wymaganej jakości, ale, oczywiście, przy zachowaniu odpowiednich reżimów technologicznych, w tym głównie temperaturowych. Stąd wielka odpowiedzialność warzelanego, który ma możliwość dwójako kontrolować temperaturę zacieru.

Co się zaś tyczy wspomnianej już fazy filtracji, to dodajmy, że w jej trakcie sływa najpierw tzw. brzeczka przednia, zawierająca największą, ale nie całą jeszcze część ekstraktu piwnego. Z tego powodu pozostające wysłodziny zalewa się niekiedy nawet trzema wodami, którymi wylugujemy ekstrakt, niemal w całości pozostawiając jego zawartość w wysłodzinach najwyżej w ilości 0,5%. Po zakończeniu filtracji odbywa się gotowanie brzeczki w kotle warzelnym. Proces ten ma na celu zniszczenie enzymów, zagęszczenie i wykrystalizowanie brzeczki, wytrącenie związków azotowych, przeprowadzenie do roztworu rozpuszczalnych składników chmielu, garbników i olejów eterycznych. Jeśli chodzi o dawkowanie chmielu, w naszym browarze dodajemy go w trzech porcjach. Ekstrakt chmielowy zadawany jest najpierw podczas zagotowania brzeczki, drugą największą porcję chmielu, w ilości 60% całej dawki, dodaje się po pół godzinie od pierwszej porcji, wreszcie trzecią porcję, w ilości 10% ogólnej dawki, zadajemy na pół godziny przed tzw. wybiciem, czyli przekazaniem brzeczki do aparatów chłodzących. Zanim to jednak nastąpi, dokonujemy wypompowania brzeczki przez urządzenie zwane odchmielaczem. Jak sama nazwa wskazuje, następuje wówczas oddzielenie chmielu od ugotowanej brzeczki. W urządzeniach chłodniczych obniżamy temperaturę brzeczki z około 90 stopni do tzw. temperatury nastawnej, która w klasycznym procesie fermentacji wynosi od 5 do 7 stopni.

**L.M.:** Warto jednak zauważyć, że schłodzenie brzeczki nie jest gwałtowne.

**A.G.:** Tak. W tej ważnej fazie produkcji następuje oddzielenie tzw. osadów gorących powstałych podczas gotowania brzeczki, a także osadów zimnych. Pierwszym urządzeniem chłodniczym oddzielającym osady jest kadz osadowa. Jest

to urządzenie typowe, schładzające brzeczkę do temperatury 70–80 stopni. Z kolei z kadzi osadowej brzeczka kierowana jest na płytowy wymiennik ciepła. Tutaj w pierwszym etapie brzeczka osiąga temperaturę 20 stopni, a następnie, przy pomocy wody sztucznie schłodzonej, sprowadzana jest do wspomnianej temperatury nastawnej. Oddzielenie osadów gorących i zimnych warunkuje między innymi wysoką żywotność drożdży w kolejnym etapie technologicznym w fermentacji.

**L.M.:** Odbywa się ona w kadzi fermentacyjnej.

**A.G.:** Innymi słowy, w dużym zbiorniku stalowym mieszczącym 270 hektolitrow piwa. Tutaj dodaje się drożdży zarodowych stosowanych przy produkcji piwa w ilości 0,75 litra drożdży na 100 litrów brzeczki. Długość fermentacji, w której wyodrębnić możemy cztery fazy, trwa od 7 do 10 dni. Jest to zależne od ilości stopni Ballinga w piwie, czyli zawartości ekstraktu. Oczywiście, ze względu na fakt, iż piwo w trakcie fermentacji zwiększa swoją objętość, burzeje, nie dopełnia się kadzi fermentacyjnej, pozostawiając w niej 10–15% wolnej przestrzeni. W czasie tego procesu cukry fermentacyjne rozkładają się pod wpływem drożdży i enzymów na alkohol i dwutlenek węgla. Po fermentacji młode piwo, zwane zielonym, kierowane jest do leżakowania i dojrzewania w odpowiednich tankach. Odbywa się to pod ciśnieniem wynoszącym 0,7 atmosfery. Piwa lżejsze, o zawartości ekstraktu w granicach 9–10 stopni Ballinga, powinny leżakować około 30 dni, natomiast piwa cięższe 40 dni, a w przypadku portera nawet ponad 60 dni. Następuje wówczas nasycenie piwa dwutlenkiem węgla oraz dojrzewanie, czyli dofermentowanie piwa.

Leżakowanie winno odbywać się w niskich temperaturach, od 1 do 3 stopni. Jest to warunek konieczny dofermentowania. W wyższej temperaturze owo dofermentowanie przebiegałoby szybko, czego efektem byłoby tzw. piwo "puste w smaku". Na tym etapie następuje również ważny proces klarowania piwa. Jak już wspomniałam, leżakowanie wiąże się z dalszym obniżaniem temperatury. Powoduje to ponowne wytrącanie się osadów i innych substancji przez te osady zaabsorbowanych. Jeśli chodzi o filtrację, to powszechnie stosowanym sposobem jest filtracja przez ziemię okrzemkową z dodatkiem ziemi krzemionkowej i perlitu, z tym, że w naszym browarze stosujemy tylko ziemię okrzemkową. Następnie piwo transportowane jest do tanków pośredniczących i stamtąd rozlewane do beczek, butelek lub cystern piwnych.

**L.M.:** Jaki wpływ na jakość piwa mają materiały, z których wykonane są beczki? O ile wiadomo, zastosowanie beczek aluminiowych zakończyło się całkowitym niepowodzeniem.



**A.G.:** Dawniej, do lat siedemdziesiątych, stosowane były beczki drewniane wyłącznie z drzewa dębowego, z tej racji, że jest to drzewo twarde a jednocześnie podatne na gięcie. Beczki te były od wewnątrz smołowane smołą piwowarską, ażeby piwo nie stykało się bezpośrednio z drewnem, celem zapobieżenia niepożądanym reakcjom chemicznym. W związku z tym, że o drewno było coraz trudniej, zaczęto stosować beczki aluminiowe, które, niestety, nie sprawdziły się w piwowarstwie. Jakość piwa przetrzymywanego w aluminium znacznie się pogarszała, z tego choćby względu, że metal ten jest dobrym przewodnikiem ciepła.

W tej sytuacji dochodziło w wyższej temperaturze do zmętnienia piwa, pogorszenia się jego jakości, podobnie zresztą działo się przy niskich temperaturach poniżej zera. Pewnym rozwiązaniem stało się zastosowanie beczek ze sztucznego tworzywa z wewnętrzną warstwą izolującą. Są one w użyciu w naszym browarze, zakupiliśmy je w Niemczech. Dodajmy jednak, że coraz częściej w Polsce browary stosują kegi, czyli beczki ze stali nierdzewnej. Mimo że jest to inwestycja bardzo kosztowna, wymaga także nabycia linii automatycznej, która myje beczki, to jednak w bieżącym roku wyposażymy nasz browar w trzyletni niemiecki sprzęt tego typu, wprowadzając przynajmniej częściowo kegi.

**L.M.:** Czy produkcja piwa grybowskiego posiada dzisiaj jakąś specyfikę, która odróżniałaby je od innych browarów?

**A.G.:** Właściwie nie. Technologia piwa jest taka sama jak w większości polskich browarów. Jedynie w Grodzisku piwo produkowane jest z pszenicy, inaczej, metodą tzw. górnej fermentacji.

**L.M.:** Często podkreśla się, że jakość piwa w dużym stopniu warunkowana jest odpowiednią wodą. W XIX wieku browary produkujące piwo wysokiej jakości były usytuowane przeważnie z dala od ośrodków wielkomiejskich, między innymi ze względu na lepszą wodę. Przykładem Drozdowo, Grodzisk Wielkopolski, Okocim, Tychy, Żywiec. Jak wygląda ta sprawa dzisiaj?

**A.G.:** Jakość piwa w 80 procentach zależy od jakości wody. Rzeczywiście, dawniej wody były znacznie czystsze, również ich poziom w ujęciach był wysoki. Dzisiaj sytuacja jest inna. Zdarzają się lata, że wody brakuje zarówno w rzekach, jak i w studniach głębinowych, nie mówiąc o tym, że jest ona znacznie gorsza, zanieczyszczona. Zatem konieczne jest uzdatnianie wody w piwowarstwie. Tak dzieje się na przykład w Niemczech. Następuje tam dokładne oczyszczenie bakteriologiczne wody, w rezultacie nie ma potrzeby pasteryzacji piwa, które i tak posiada trzymiesięczny okres gwarancji. W Polsce natomiast, właśnie ze względu na jakość wody, nie ma w tej chwili browaru, który piwa by nie pasteryzował. Niewątpliwie w najbliższym czasie zakupimy do browaru grybowskiego filtry produkowane w Warszawie. Były już czynione próby sprawdzające ich przydatność. Mimo że pobierana była woda silnie zanieczyszczona, z zawiesinami, po uzdatnieniu otrzymywaliśmy wodę czystą, pozbawioną drobnoustrojów. Zainstalowanie filtrów mogłoby wyeliminować pasteryzację, czyli podgrzewanie piwa do temperatury 64 stopni celem zabicia drobnoustrojów, co w efekcie poprawiłoby jego jakość.

**L.M.:** Na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Konkurencja wśród producentów piwa na naszym rynku jest coraz większa. Ugruntowuje swoją pozycję browar elbląski, modernizują się niektóre inne browary — czego przykładem Okocim. Według umów między państwowych, za kilka najbliższych lat, zniesione zostanie cło w ramach CEFT-y, co spowoduje, że konkurować przyjdzie również z piwem czeskim i słowackim. Jakie w tych warunkach są szanse browaru w Grybowie?

**A.G.:** Wszyscy się tego obawiamy, jeśli zniesione zostanie cło, sądzę, że małe browary nie wytrzymają konkurencji. Obecnie, kiedy konsumpcja piwa znacznie spada, co odczuwają wszyscy producenci łącznie z potentatami, nie wydaje się możliwe, aby było inaczej. Tym bardziej, że piwo czeskie i słowackie jest tańsze. Bierze się to stąd, że podatek jakim obciążona jest produkcja piwa w Czechach lub na Słowacji wynosi 23 procent, gdy tymczasem u nas 75 procent.

**L.M.:** Dziękuję za rozmowę.



## **DAWNE PASTERSKIE ZWYCZAJE OKOLIC MUSZYNY**

*“W Muszynie panowie  
gorzałeczke pijom,  
Ej, ja tu owce pase  
choć pieruny bijom!”*

Nie ma już dziś takiego zakątka, nie tylko w Beskidzie Sądeckim, gdzie tradycja, dawne wierzenia, zwyczaje i obrzędy zachowałyby się w niezmienionej formie. Wszędzie zaszły ogromne zmiany, a to co gdzieś tam pozostało z dawnych dni wydaje się być muzealnym reliktem, nikłą pozostałością bogatej kultury ludowej, tak bezlitośnie zmiecionej przez współczesną cywilizację.

Wędrując ścieżkami i szlakami turystycznymi okolic Jaworzyny, tu i ówdzie natrafimy może jeszcze na ślady przeszłości. Oto na hali pojawia się stadko owiec doglądane dyskretnie przez juhasa. Na Jaworzynce przygnębiająco spojrzy na nas rozlatująca się stara pasterska kapliczka. Z Wierchomli Małej dojrzymy w dole zniszczoną przez ząb czasu dawną siedzibę pasterską.

Ale w czasie wędrowki z Jaworzyny na Pustą Wielką spróbujmy odbyć też wędrowkę w czasie. Cofnijmy się do przełomu XIX i XX wieku. Spróbujmy przywołać minione dni na halach i w pasterskich szałasach.

Jak można wyczytać w niejednym podręczniku historii, okres intensywnego osadnictwa w Karpatach ma dwa etapy. Pierwszy za czasów Kazimierza Wielkiego, kiedy to pojawiają się w okolicach Muszyny nowe wsie: Andrzejówka, Milik, Powroźnik, Muszynka i drugi etap, w drugiej połowie XVI wieku, w którym powstają takie wsie, jak: Szczawnik, Złockie, Żegiestów, Jastrzębik i inne. O ile w pierwszym

okresie osadnictwa oprócz Polaków bierze udział dość znaczna ilość Niemców, o tyle w drugim jest to ludność Wołosko–Ruska.

Materiały historyczne wskazują, że Wołosi byli przeważnie pasterzami niezwykle ruchliwymi. Odpowiadaly im suche i zdrowe pastwiska grzbietowe, które pozyskiwali przez karczunek i wypalanie lasów, przemieszczając się wciąż na nowe tereny.

Pasterstwo przyniesione przez Wołochów na te tereny było oprócz rolnictwa jedynym źródłem utrzymania nowych osiedleńców. Stąd też całe codzienne życie podporządkowane było tym właśnie zajęciom, a wokół nich narosły pewne tradycje, zwyczaje i wierzenia, które były przekazywane z pokolenia na pokolenie. Nigdy nie były spisane, a postęp cywilizacyjny wdzierał się w nie, skazując niektóre z nich na wymarcie, inne na modyfikacje. Równocześnie przenikanie się kultur, słowackiej, węgierskiej, polskiej i łemkowskiej, które w dawnym kluczu muszyńskim wyraźnie się zaznaczały, wytworzyły charakterystyczny odrębny folklor, którego relikty w szczątkowej formie zachowały się jeszcze może i do dnia dzisiejszego.

Pod koniec ubiegłego wieku i z początkiem obecnego na halach Beskidu Krynickiego, gdzie warunki wypasu były korzystniejsze niż na innych halach beskidzkich, pasły się stada złożone ze 100 — 250 sztuk owiec. Bacowie brali na letni wypas cudze owce tworząc stada, które przez całe lato dozorowali. Jesienią właściciel owiec dostawał od bacy po 8— 10 funtów sera od owcy, przy czym ilość ta zależała od tego czy lato było pogodne, czy "mokre".

Owce nocowały na hali w przesuwanym "koszarze", obok którego znajdowała się sklecona z desek buda zwana "kołybą". Kołybę przenoszono w ślad za koszarą. W kołybie nocował juhas dozorujący bezpośrednio kierdel. Mleko po każdym udoju znoszono do wsi, gdzie wyrabiano z niego bundz, a następnie bryndzę. W okolicach Zimnego, gdzie bacowie z Leluchowa wypasali swoje stada, mleko przerabiano bezpośrednio na hali. Podobnie rzecz się miała na Łabowskiej Hali, gdzie polski baca wypasał około 200 sztuk owiec, jeszcze w latach międzywojennych.

Oprócz owiec chowano dawniej kozy, które wypasano razem z owcami. Zdarzało się też często, że i z owcami czy też kozami pasło się kilka lub kilkanaście krów i jałówek. Reszta bydła mlecznego zostawała na lato we wiosce, gdzie pasterze paśli na "tłokach", miedzach, pod lasem, na ugorach i wąwozach.

Przy "stajankach" dla bydła, prowadzono na halach gospodarkę sianokośną, a na małych poletkach uprawiano jęczmień, owies, a nawet ziemniaki. Prócz stajni dla bydła i owiec stawiano czasem mieszkalną chatę, w postaci odrębnego budynku. W ten sposób powstawało małe "gospodarstwo filialne", w którym, w cieplejszej porze roku, gospodarzyła rodzina mająca stały dom w dolinie.

Jesienią w znacznej części owce sprzedawano na rzeź, starając się jak

najmniej sztuk zimować. Wiosną, przeważnie po Wielkanocy, wędrowano pieszo po nowe owce, na Słowację, na Węgry lub na wschód, aż nad Dniestr. Wspomnienia takich wędrowek zachowały się jeszcze wśród najstarszych gospodarzy w Muszynie.

Czasem też, przeważnie w lasach bukowych (w okolicach Wierchomli Małej), wypasano świnie, gdzie łatwo było o zdrowy i smaczny pokarm dla trzody, gdy obrodziły "bukwie" — orzeszki bukowe.



Wiosenny redyk rozpoczynał sezon wypasowy na halach. Ważnym dniem był tu dzień św. Jerzego, kiedy po raz pierwszy wypędzano bydło i owce na zieloną paszę. Św. Jerzy według wierzeń południowych Słowian — a stamtąd właśnie przybyli Wołosi — był opiekunem i patronem pasterzy. W wigilię św. Jerzego konieczne należało na obiad ugotować obrzędowe pierogi z serem i ziemniakami. (Czyżby do dziś zachowały się one pod nazwą "ruskie pierogi"?)

Wieczorem przed drzwiami stajni kładziono tarninę i gałęzie dzikiej polnej róży lub głogu, aby na ich kolcach, pokłuły sobie nogi czarownice i inne złe moce, które będą chciały policzyć bydło i owce w stajni.

W okolicach Muszyny wiosna nie zawsze przychodziła w kwietniu, toteż utarło się "przenosić" obrzędy i magiczne praktyki związane z wypędzaniem bydła na paszę na dzień 30 kwietnia, w przeddzień 1 maja. Było to chyba echo dawnych celtyckich wpływów, bowiem Celtowie mający już w III wieku swoje osady na terenach

Ślowiańszczyzny właśnie 1 maja rozpoczynali wypas bydła. Tu wyraźnie widać przenikanie się kultur i dawne echa minionych czasów.

W noc z 30 kwietnia na 1 maja palono na górach i halach ogniska, które miały okadzać i "uświęcać — oczyszczają" przyszłe pastwiska od czarownic i kuźlarnic.

1 maja, nim po raz pierwszy po zimie bydło opuszczało stajnię, gospodarz kładł pod jej progiem siekiere ostrzem do góry. Był to zabieg przeciw czarownicom, które chciały podejść do krów i niecnymi zakłęciami odebrać im mleko. Ostrze siekiery miało jakoby rozcinać na połowy wszystkie nieczne czary, które nie miały już mocy działania, bowiem rozcięte były na dwoje. Kładło się też pod progiem, obok siekiery, zamkniętą kłódkę. Wierzono, że owa kłódka zamknie wilkom paszcze na cały sezon wypasu i nie będą groźne dla trzody. Przez tak "opatrzone" próg stajni przechodziły dopiero zwierzęta.

Nie było nic ważniejszego na świecie, gdy przychodził dzień 1 maja, pora wiosennego redyku. Wszystkie podwórka w każdej wiosce zawodziły baranim bekiem, rykiem krów i wołów, ujadaniem psów. Gospodarze prowadzili swą trzódkę na wyznaczone wcześniej miejsce, gdzie dokładnie liczono każdą sztukę i łączono w jeden większy kierdel. Owce znakowano dobrze już wypraktykowanym sposobem. Gdy bacia przyjął już do stada wszystkie owce, kropił stado święconą wodą, zakreślał laską krzyż nad kierdłem i dawał znak wymarszu. Rozlegały się śpiewki i pogwizdywania juhasów. Rozbiegana psia eskorta popędzała stado, bacząc, czy któraś z owiec nie odłączyła się od kierdła.

Pochód mijał domostwa odpowiadając na pozdrowienia "Z Panem Bogiem!" czy "Boże prowadź!" i piął się powoli w górę potoków na hale.

A na hali, nim jeszcze owce zapędzono do koszar, bacia obchodził go trzykrotnie w koło. Następnie udawał się do kołyby, gdzie rozpałał ogień, tak by go nikt nie widział, po czym wychodził i okadzał ziołami i żywicą ze świerków owce, które już wcześniej juhasi zamknęli w koszarze. Następnie przystępowano do rozładunku przywiezionego w "lyterkach" sprzętu, a więc rozkładano "szkopce", konwie, dzieże, warzęchy i czerpaki. Wszystko, co miało służyć udojowi mleka, czasem częściowej obróbce i transportowi w doliny.

Pierwszy udój mógł się odbyć dopiero po wspólnej modlitwie. Kiedy już cedzono z niego mleko, na lnianym płótnie, przez które lano to mleko, musiał być krzyżyk ze smrekowych szpilek. Tak bowiem proszono Stwórcę o ochronę przed chorobami, wilkami, czy też zagubieniem owiec w górach. Bywało też, że niektórzy bacowie, przeważnie na halach Zimnego i w okolicach Wojkowej i Muszynki pocierali wymiona owiec przy pierwszym udoju czosnkiem, który miał zabezpieczać od chorób wymiona i rzucenia uroków przez czarownice, a i też przed odebraniem przez nie mleka.

Niedługo po “zadomowieniu” się na halach następowało święto pasterzy — drugi dzień Zielonych Świąt.

Zielonoświątkowy poniedziałek był w dawnej Muszynie i okolicy dniem pasterzy. Nim krowy i bydło rogате wyszło na pastwisko nakładano mu na rogi czatynowe wieńce, a pasterz otrzymywał od gospodarza gotowane jajko, które toczył po każdym krowim, czy baranim grzbiecie, by trzoda była tak wypasiona i okrągła jak to jajko. Ponadto pasterz dostawał obrzędowy chleb, jajka surowe, poćć stoniny i kwaterkę wódki. Te same wiktuły wynoszono bacy na halę. Czynił to ten gospodarz, który dał na wypas najwięcej owiec.

Paśąc bydło, zbierali się pasterze przy jednym wspólnym ognisku, smażyli jajecznicę, jedli ją z chlebem, zapijając gorzałką. Zwyczaj ten praktykowany był nie tylko w Muszynie, ale szczególnie w okolicznych wioskach jeszcze w latach międzywojennych.

Baca na hali nie miał lekkiego życia. Musiał baczyć na wszystko wokół i w dzień, i w nocy. Zwykle nocą mogły kierdel podejść wilki, dla których przepastne potoki były niezłą kryjówką. Te “weredy” były przebiegłe i nie bały się nawet pasterskich psów. Szczególnie u schyłku lata pojawiały się znienacka. Przy kierdlu baczenia było sporo, a to czy “żywna” nie zjadła pająka, wypića z potoka “da jakiego chrobaka”, kulawiła nogi na “źbyrze”, albo słabowała po porodzie, czy odrząciła młode. Wszystko trzeba było w porę dostrzec, leczyć, “obaczyć”. Do tego “trza było spozirać” na pogodę, by “płanetniki” nie “na żenili dyszcza”, bo nic gorszego nie mogło się zdarzyć na hali niż “mokwa z długom zimnicom”.

Znani byli też niektórzy bacowie z tego, że i ludziom umieli pomóc w “chorości”. Warto tu zauważyć, że jeszcze w 1900 roku wędrowano pod Pustą Wielką do niejakiego “Semena (Przetaka?) znanego od Starego Sącza po Gorlice z tego, że niejednego chłopa na nogi postawił, a i babom choroby odejmował (!)” *“... umiał też oczyścić każdą chatę z frasów i głuszek, które tam się gnieździły.”* *“... znał się na ziołach, jak mało kto. Całe lato zbierał je, suszył i rozdawał darmo ludziom na przeróżne choroby.”* Skąd pochodził Semen i co się z nim stało, jak długo bacował na Pustej, nikt dziś nie pamięta, ani nie zachował się żaden inny pisany ślad niż ten z *Kroniki Towarzystwa Przyjaciół Doliny Popradu* z roku 1935.

Kiedy lato miało się ku końcowi i przychodziła pora powrotu z hal, jesienny redyk wyznaczano na św. Michała (29 września). Nim zliczono owce, zapakowano sprzęt na wozy, trzeba było koniecznie złożyć ofiarę “lesijowi” — któremu podlegały hale i lasy, pola i miedze. Był to dobry duch, który czasem ukazywał się w postaci ogromnego pasterza z aureolą nad głową i sękatą laską w rękach. Ciekawe, że widywano go tylko wtedy, gdy nad halami unosiła się mgła, przez którą przedzierało się słońce.

“Lesij” jako prezent przyjmował chleb i sól, które w ostatnią noc przebywania

owiec na halach trzeba było złożyć przy specjalnym, na osobności rozpalonym ognisku, wypowiadając przy tym specjalne formułki.

Następował wreszcie powrót do wiosek. Wracaly owce, kozy i krowy do swych zimowych stajni przy gospodarstwach, a baciowie mieli dalej pełne ręce roboty. Trzeba było rozliczyć się z każdym gospodarzem, który żywność dał na wypasy. Czasu było niewiele, do trzeciej niedzieli października, kiedy to w Muszynie był w „odomasz”. Nieznane były tu święta plonów — tzw. dożynki, ale odomasz obchodzono uroczyście w każdej wiosce dawnego klucza muszyńskiego. Był to zwyczaj pokrewny dożytkom, połączony ze świętem kościelnym. Po uroczystej sumie sąsiedzi wspólnie przygotowywali obiad. Nie mogło na nim zabraknąć „bulaników z papką” (placki ziemniaczane pieczone na blasze bez tłuszczu z zasmażką przyprawioną śmietaną), pierogów na liściach z kapusty i baraniny z ziemniakami. Ucztowano do wieczora, zapijając suto jadło gorzałką, obliczając urodzaje, wesoło śpiewając.

Ostatnim akcentem pasterskiego roku był dzień św. Mikołaja — 6 grudnia. Do tego dnia owce i kozy mogły się jeszcze waleśać po polach i szukać zeschniętych traw i badyli, mimo że już nieraz spadły śniegi i trzymały mrozy. Ostatecznie zamykano wszelką trzodę na zimę właśnie w dzień św. Mikołaja, stąd i ten dzień nabierał „pasterskiego wydźwięku”. O 6 rano, tuż przed roratami, obok bocznego ołtarza św. Mikołaja składano dary, przeważnie masło i skóry, a w czasie mszy roratniej dziękowano św. Mikołajowi za całoroczną opiekę nad trzodą i bydłem i proszono, aby zachował ją od napaści wilków w ciągu przyszłego roku. Wierzono, że św. Mikołaj jest nie tylko drugim patronem pasterzy, ale też opiekunem dzikiej zwierzyny, a zwłaszcza wilków. Właśnie w tym dniu zbiera wilki na polu, z dala od ludzkich siedzib i wyznacza każdemu, ile wolno mu pożreć owiec w ciągu roku. Jeśliby wilk zlekceważył sobie świętomikołajowe napomnienie spotka go niechybna kara, zostanie upolowany przez człowieka.

Zwyczaj ten ściągał do Muszyny baców z okolicznych wsi i zachował się do końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

Co dziś zostało z tych wierzeń, zwyczajów i obrzędów, wszak na szlakach letnich wędrowek można spotkać niekiedy kierdło owiec pod Jaworzyną, obok Małej Wierchomli, pod Pustą, na Szczołbach.

Okazuje się ku pewnemu zaskoczeniu, że dużo!

Na rozległej hali, na Szczołbach bacuje pan Stanisław Botoz. Zapytany, jak długo zajmuje się pasterstwem, odpowiada: *“od zawsze, bo dziadek bacował, ociec bacował i ja też bacuje!”*

Kierdel p. Botoza liczy około 320 owiec i 30 kóz, ponadto pasie się na hali bydło mleczne, jałówki i byczki opasowe, w sumie 27 sztuk, a w zagrodzie, pod starymi rozłożystymi bukami trzyma 19 świń. Owce, kozy i bydło dali na wypas

gospodarze z okolic Muszyny: z Powroźnika, Jastrzębika, Milika, Złockiego, Szczawnika, Żegiestowa i Wierchomli. Od jednego gospodarza jest od 5 do 20 sztuk. Całą "żywiznę" dogląda trzech juhasów. Młodzi panowie, bardzo sympatyczni i gościnni. Nad stadem czuwa 6 dużych białych psów pasterskich.

Baca, raz w tygodniu, odwozi do mleczarni w Krynicy bundz i ser, bowiem wszystko mleko przerabiane jest na hali w sanitarnie bardzo poprawnych warunkach. Bańki, konwie i dzieże każdorazowo wyparza się wrzątkiem, suszy, jednym słowem, przestrzegane są warunki sanitarne. Z miasta, też raz w tygodniu, przywozi się zaopatrzenie, najpotrzebniejsze artykuły spożywcze.

W rozmowie p. Bołoz potwierdza wiele dawnych zwyczajów i wierzeń opisanych powyżej, niektóre uzupełnia nowymi szczegółami. Dla przykładu: Wychodząc pierwszy raz po zimie bydło ze stajni musi przekroczyć próg stajni, pod którym położono siekierę, zamkniętą kłódkę i ... łańcuch! *"Ten łańcuch to po to, co by się owieczki kierdla trzymali, jako te ogniwa łańcucha!"* — mówi bacą.

Ognisko raz rozpalone na wiosnę w bacówce musi płonąć przez cały czas pobytu owiec na hali, bo kiedy by zgasło, zgasłoby też pasterstwo. *"Hej, ta nie byłoby po co i co za rok wyganiać na hale!"* Na drugą niedzielę października zamówił w kościele mszę św. na podziękowanie Bogu za cały sezon wypasowy.

Okazuje się, że wiele zwyczajów i wierzeń w dalszym ciągu jest kultywowanych, że tradycja w pasterstwie trwa nadal i opiera się niszczącemu działaniu cywilizacji i postępowi. Trwa jako relikwiarz dawnych czasów i historii. Życie baców i juhasów na halach z dala od miast i wiosek zdaje się być takie samo jak przed laty.

Na pytanie, czy dziś opłaca się parać pasterstwem, jeden z juhasów odpowiada: *"Panie, ta trza co robić! Ja już dziewiąty rok z tym bacom owce pase, bo żywizna tyż stworzenie boże i trza jom doglondać, a lepsze to niż na bezrobociu siedzieć!"*

I dziś, tak jak dawniej, na owce czyhają na halach wilki. Końcem sierpnia 1993 roku, w deszczową i mglistą noc, kilka wilków podeszło pod koszar i zabiło 11 sztuk. Nie pomogły nawet psy pasterskie. Nie pomogło płoszenie ogniem przez juhasów. Podeszły i narobiły szkody i strat.



W ubiegłym roku (1994) rozkrzyczana grupa młodych turystów spłoszyła stado, z którego zgubiły się dwie owieczki, jedna z nich "lada dzień miała się obagnić" (urodzić młode). Szukano jej przez trzy dni i szczęśliwie znaleziono, z tym, że nie dwie, lecz cztery, bo w międzyczasie urodziły się dwa jagniątka.

Przechodząc szlakami turystycznymi, spotykając na swej drodze kierdel owiec i pilnującego juhasa, mamy chyba jedyną niepowtarzalną okazję, choć przez chwilę obcowania z okruczem, czy też echem minionych lat i żywej jeszcze historii. Warto sobie to wtedy właśnie uświadomić, zwłaszcza gdy gdzieś z dali doleci do nas stara śpiewka juhasa:

*"W Muszynie panowie gorzałeczkę pijom,*

*Ej, ja tu owce pase, choć pieruny bijom!"*



## O BASI, CO SZWEDA CHCIAŁA

*"Tylko mnie jakoś dziwnie serce boli.  
I w głowie szumi, i w oczach mi ciemno,  
Ja sama nie wiem, co się dzieje ze mną.  
Strasznie mi jakoś teraz na tym świecie."*

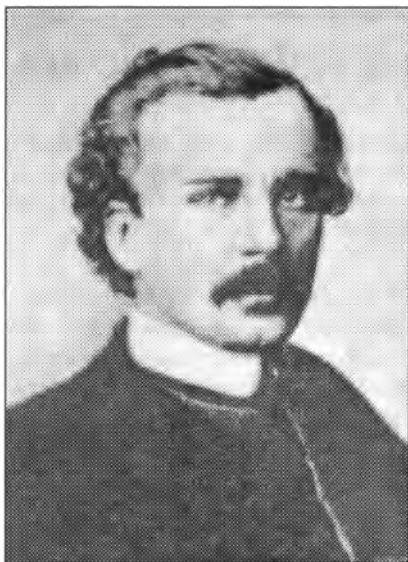
Nowy Sącz nie był nigdy tym miastem, które byłoby bohaterem wielu arcydzieł literackich, na stałe i niezłomnie tkwiących na kartach literatury polskiej. Jeżeli, to już raczej dzieł drugorzędnych, o których milczą najszczerzeliwszym nawet podręczniki, lub krótkich wierszy powstałych na obrzeżach głównych zainteresowań ich autorów (**M. Czuchnowski, J. Niemojowski-Kłósowski, W. Lubasiowa** i in.). Dwie wydane, przez Antoniego Wnęka i przez Janinę Kwiek-Osiewską, antologie, dotyczące zresztą szerszego obszaru, bo ziemi sądeckiej, konstatację tę potwierdzają w zupełności. Wykwit twórczości o samym mieście, wywołany siedemsetleciem tegoż, nie przyniósł nic rewelacyjnego, choć autorzy zapewne starali się na swój sposób uświetnić swoje miasto w mowie przede wszystkim wiązanej. Wynika z tego, że dzieło godne uwagi może powstać na marginesie innych poszukiwań twórczych, na poboczu niejako, i nie musi być wcale dziełem nowosądeczanina, tuziemca.

Nie dziwi nas zatem, że jedyny naprawdę liczący się utwór w historii polskiej literatury wyszedł spod pióra człowieka, który z Nowym Sączem nie miał prawie nic wspólnego (przebywał w nim parę dni zaledwie), a którego zainspirowało dość odległe w czasie powstanie przeciwko szwedzkiemu najeźdźcy w dniu 13 grudnia 1655 r. Mowa tutaj, oczywiście, o poemacie epicznym — lub jak nazywa to sam autor: powieści poetyckiej (rozdzielenia genologiczne nie są przedmiotem tego artykułu) — pt. *Dziewczę z Sącza* Mieczysława Romanowskiego, którego miasto uczciło nader skromną uliczką biegnącą od Rynku w stronę restauracji Panorama i Dunajca.

\*\*\*

Kim był właściwie Mieczysław Romanowski i co skłoniło go do napisania tego poematu? Mimo iż cała jego twórczość jest przepojona ideologią herbową, szlachecką. Jakie niezbywalne wartości ostały się w samym poemacie, czy może on i dzisiaj wzbudzić szersze zainteresowanie, a może nawet okrucich uczucia u współczesnego odbiorcy?

**Jan Julian Mieczysław Romanowski** urodził się 12 kwietnia 1833 r. w małym dworku szlacheckim w Żukowie, który jego ojciec, **Erazm** herbu Bożawola, wydzierżawił od hr. **Dzieduszyckich**. Matką poety była **Agnieszka z Głowackich**, która wydała na świat jeszcze trzech synów i dwie córki. Żuków leży na Pokuciu,



niedaleko rozciągały się pola ober-tyńskie, miejsce słynnego zwycięstwa Jana Tarnowskiego nad Wołochami. Nie tylko to już samo w sobie historyczne umiejscowienie, ale także i liczne koneksje rodzinne sprawiły, że atmosfera w domu przyszłego poety była wybitnie patriotyczna, skierowana pamięcią ku świetności dawnych, wielkich przodków, ku konfederatom barskim, kościuszkowcom, a także niedawnym powstańcom z listopada 1830 r. Przy czym była to atmosfera wybitnie religijna, katolicka. O narodowych i religijnych formach współżycia w rodzinie może świadczyć wiersz **Mieczysława Dzieduszyckiego**, który po latach tak wspominał wspólny z Mieczysławem Romanowskim chrzest:

*“Pamiętam ową chwilę — gdy w dzieciństwie porze  
Brałem chrzest obok Ciebie w tym żukowskim dworze.  
Z ceremonii nas chrzczono, a my przystrojeni  
W rogate czapki, pióra, pałaszem zbrojeni –  
W ładownice, ostrogi; dosyć — jednym słowem:  
Wspólnym chrztem sojusz wspólny obajśmy zawarli,  
Byśmy się starej wiary Ojców nie wyparli.”*

Dzieciństwo Romanowskiego upłynęło szczęśliwie. W 1845 r. podjął on naukę w gimnazjum w Stanisławowie. Nie był zbyt lotnym uczniem — otrzymał

nawet opinię roztargnionego — najbardziej pociągała go historia i geografia. Życie jego było przepełnione czymś innym. Jak pisał po latach do **Kornela Ujejskiego**:

*“Od dziewiątego do dwudziestego roku prawie ideałem i szczęściem moim były: koń, psy i strzelba — o tym marzyłem, o tym śniłem; czułem się szczęśliwym, jak w lesie ze strzelbą lub na koniu z chartem, polowałem też do woli, ale za to umysł leżał odłogiem — czego nauczyłem się w szkolnych ławkach (a te mi były nieznośne) i co pochwyliłem w rodzicielskim domu, tyle tylko wiem.”*

Rok 1848, rok rewolucji w Austrii, był dla Mieczysława wydarzeniem niezwykle ważnym i doniosłym, o dużych konsekwencjach psychicznych. Wówczas to objawiła się wyraźnie buntownicza cecha charakteru Romanowskiego, sygnał, że całe swoje przyszłe życie — w tym i życie poetyckie — poświęci walce narodowowyzwoleńczej. Wiosną tego roku, wraz ze starszym kolegą, próbował się przedostać do powstania węgierskiego. Jednak jego ucieczkę zlikwidował prof. **Konstanty von Stupnicki**, u którego mieszkał na stacji, a który zorganizował za młodzieńcami pogoń. Niefortunnych, niedoszłych powstańców schwytano w pobliżu granicy węgierskiej i odstawiono do domów.

W kwietniu 1851 r. pisze najprawdopodobniej swój pierwszy wiersz. Oto jego początek:

*“Ojczy! Już wiosna znów nam powróciła,  
A z jej powrotem i nadzieje nasze;  
I znów zieloność tę ziemię odkryła;  
W czystym powietrzu buja wolne ptasze.”*

Tytuł tego wiersza, jak podaje jego siostra, a zarazem powiernica serca i ducha, brzmi: *Modlitwa Polaka na wiosnę*.

W 1852 r. Romanowski nie zdaje wówczas wprowadzonej matury, przenosi się rok później do Lwowa, by z małymi przerwami żyć tam, mieszkać i pracować. W tym samym roku zdaje wreszcie maturę i zapisuje się na prawo. Od 1857 r. wpraw jest stypendystą, a później jako pracownik znajduje posadę skryptora w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich, gdzie z niewielką przerwą pracuje do roku 1862.

We Lwowie poznaje grono przyjaciół, jak i on twórców, podobnie zapatrujących się na sprawy nie tylko literackie, ale i publiczne, bywa częstym gościem w salonach literackich, zwłaszcza u **Wasilewskich**, **Pilata**, **Wildowej**. Na poły dandys, na poły biedny skryba zasypujący rodzinę prośbami o coraz to nowe datki pieniężne szybko staje się osobą lubianą i popularną, choć **Józef Szujski** zarzucał mu pewną koturnowość. Przyjaźń łączy go przede wszystkim z **Mieczysławem Pawlikowskim**, w przyszłości twórcą poezji, powieści i utworów publicystycznych (do najbardziej

znanych należą *Plotki i prawdy*), działaczem kulturalnym Galicji, redaktorem *“Kraju”* i *“Nowej Reformy”*.

W 1854 r. debiutuje Romanowski utworem *Chorąży we lwowskich “Nowinach”*. Odtąd już będzie stałym bywalcem pism literackich, a zwłaszcza *“Dziennika Literackiego”*. Jego wiersze i poematy z biegiem czasu zostają zauważone w Warszawie, jego talent uznaje wybrany przezeń mistrz, Kornel Ujejski. Nazwisko Romanowskiego staje się coraz bardziej znaczące, jest chętnie przyjmowany na wieczorach literackich, gdzie recytuje swoje utwory lub analizuje poezję innych autorów, np. **Juliusza Słowackiego**. Żyje pod silnym wpływem wielkiej poezji romantycznej, kreuje świadomie życie swoje jako poety, działając w wielkim emocjonalnym napięciu, marząc o sławie i bohaterstwie, odczuwając wstręt do zwykłych zjadaczy chleba, a zwłaszcza bezideowych i próżnych łajdaków. *“Ma dopiero dwadzieścia jeden lat, ale jest zjawiskiem rzadkim w literaturze. Nie był cudownym dzieckiem, którego talentem zwykli popisywać się rodzice, ale był niewątpliwie cudownym młodzieńcem, który odkrywszy w sobie powołanie poety z niezwykłą ambicją i pracowitością rozwija i doskonali swój warsztat literacki, podejmując najróżnorodniejsze próby, z pośpiechem i niecierpliwością poszukując ostatecznych sformułowań ideowych”* — tak pisze o nim **Konrad Bartoszewski**.

W połowie lat pięćdziesiątych przechodzi kryzys ideowy, coraz bardziej skłaniając się ku wolterianizmowi, a także niepogłębianemu myślowo materializmowi. Jest to dość typowa droga ideowa ostatniego pokolenia romantyków polskich. Kryzys szybko mija i choć Romanowski nie cierpi ortodoksji i hierarchii kościelnej, to z drugiej strony — jakby dla równowagi — pewne cechy jego twórczości w sposób paradoksalny wykazują silne wpływy mesjanistyczne.

Od 1857 r. angażuje się coraz bardziej w radykalny ruch postępowy, interesuje się polityką, działa wśród rozwijających się w Galicji kółek patriotycznych, nie tylko inteligencko-szlacheckich, ale także rzemieślniczych. Staje się stałym współpracownikiem *“Dzwonka”*, pisma mającego dość szeroki oddźwięk u tych warstw. Jest zwolennikiem ruchu *“Białych”*, który w Galicji inicjowali m.in. **Florian Ziemiałkowski**, **Franciszek Smolka**, **Wojciech Dzieduszycki**, **Adam Sapieha** i in. Nieufny jest wobec *“mierostawczyków”*. W 1862 r. staje na czele Ławy Lwowskiej, ekspozytury Komitetu Centralnego.

Prócz działalności politycznej, bezpośrednio prowadzącej do jego udziału w *powstaniu styczniowym*, *Romanowski prowadzi bogate życie uczuciowe. Z natury jest kochliwy i kapryśny, jego wielka miłość, nieodwzajemniona zresztą, do **Wandy Dybowskiej**, którą odmalował jako Basię w *Dziewczęciu z Sącza*, kończy się dla niego boleśnie. Później swoje uczucia kieruje ku pięknej **Eugonii Maciejewskiej** (także bez pozytywnego efektu), by tuż przed powstaniem styczniowym poznać i zakochać się w **Modeście Krasnopolskiej**; na krótko przed wybuchem powstania jego prośba o rękę panny zostaje przyjęta.*

Rozwija się ciągle jego twórczość „... której celem najświętszym i jedynym ma być budzenie uczuć patriotycznych i która w przeszłości narodu ma szukać niezbędnych przykładów postaw heroiczych”. Podobną treść ideologiczną mają trwałe w jego twórczości gawędy i poematy: od dawniejszego *Charta watażki* po *Buławę Rewery*, *Starostę Żegockiego*, *Konfederata w Kałudze*, *Jeńca*, *Łużeckich* itd.

Drukuje dużo wierszy, szczególnie tragiczne wydarzenia w latach manifestacji warszawskich 1860–61 powodują u niego rozkwit twórczości, na której czoło wysuwa się liryka patriotyczna, a formalnie hymn, pieśń bojowa, modlitwa. *“Romanowski (...) przeszłość wzywa do pomocy w wykuwaniu przyszłości i to jest naczelną ideą jego poezji, idea tyle razy i w tak różny sposób przez romantyków wysuwana i interpretowana”*. Bliska śmierć jest bardzo częstym wątkiem wierszy poety. *“Tragiczna historia Polski tak się niemal od wieku układała, że każdy zryw bojowy kończył się klęską, ginęli najdzielniejsi i najszlachetniejsi. Żałoba stawiała się prawie strojem narodowym. Rozumiały jej znaczenie już dzieci. Romanowskiego uczyły tej prawdy groby ojców, przekonanie o wielkości śmierci za ojczyznę wpajała literatura współczesna, na wskroś przesiąknięta ideą walki wyzwoleniczej. Oswojony więc był z tą myślą, przewija się ona z obsesyjną stałością na kartach jego wierszy. Pojmuje ją w myśl zasady: »jak słodko jest umrzeć za ojczyznę«. Śmierć w poezji Romanowskiego utraciła swą wrogą człowiekowi twarz. Nie towarzyszy jej ani groza, ani żal za życiem. Łączy się z nią tylko jedno pragnienie: aby umrzeć na »polu chwały«”* (Maria Olszaniecka).

Pisuje także Romanowski i wiersze miłosne. Zdecydowana większość egzegetów jego twórczości uważa je za utwory niedoskonałe, by nie rzec, słabe. Jest również autorem dwóch prób powieściowych: *Projekta* (1860) i *Wczoraj* (1861), rozprawek historycznych: *O legionach polskich* (1861) oraz *Jakub Jasiński* (1863, nieukończona). W 1861 r. drukuje *Dziewczę z Sącza*, w rok później dramat *Popiel i Piast* i inne utwory.

22 stycznia 1863 r. wybucha powstanie. Początkowo w Galicji nie wierzono w “plotki” z Kongresówki. Ale gdy wiadomości się potwierdziły, Romanowski pożegnał się wierszem z Modestą Krasnopolską:

*“Módl się za nas, lilio biała!*

*Bogu poleć serca żal;*

*Tyś powstańca pokochała –*

*Pobłogosław stal!”*

i na czele trzydziestoosobowej grupy, złożonej przede wszystkim z rzemieślników i młodzieży gimnazjalnej, wyruszył do Artasowa. Tam zostali wszyscy aresztowani przez policję i osadzeni w celach więziennych klasztoru karmelitańskiego. Uwolniony

został z niego 10 marca. Już w dziesięć dni później wyjechał do Medyki i tu spotkał się z **Lelewalem–Borelowskim**, który chciał wyruszyć do Kongresówki na pole walki. Borelowski mianował poetę swoim adiutantem i oficerem sądowym. 8 kwietnia mały oddział Borelowskiego przekroczył granicę koło Tarnogrodu. 16 kwietnia brał udział w zwycięskiej bitwie między Łukowem a Zamchem. 24 kwietnia nastąpiło tragiczne spotkanie z Moskalami pod Józefowem. Tak o śmierci Romanowskiego pisał świadek i uczestnik tych walk:

*“Romanowski, odcięty od głównego oddziału na czele 80 ludzi, wparty przemożną siłą następującego nieprzyjaciela na bagna, walczył jak lew, drogę sprzedając swe życie. Silny i wprawny do robienia bronią, pięciu Moskali powalił bagnetem, nim ugodzony kulą w skronie padł otoczony wałem trupów. Rozwścieczone do najwyższego stopnia tą bohaterską obroną żołdactwo moskiewskie, rzuciło się na poległego, a pastwić się już nad trupem, zadało mu sto kilka ran, tak, że znaleziony na pobojowisku wśród ciał żołdatów, był prawie nie do poznania.”*



**Śmierć Mieczysława Romanowskiego. Drzeworyt F. Tepy**

Sprawdziła się “przepowiednia” poety, który już w 1857 r. tak pisał do swojej siostry:

*“Przekonany jestem, że każda rodzina musi dać w przeciągu czasu kilka ofiar na ołtarz społeczny. Z rodziny Romanowskich — o ile wiem — dawno takiej ofiary nie było; może mnie los wybrał; jeśli tak, niech się spełni jego wola. Ci szkodzą, co się cofają, ci, co padają, kładą się jako podwaliny przyszłej budowy.”*

Grobu Mieczysława Romanowskiego nigdy nie odnaleziono. Data jego śmierci jest symboliczną datą końca epoki romantycznej w Polsce.

\*\*\*

Dokładna geneza *Dziewczęcia z Sącza* — mimo wnikliwej pracy **Henryka Barycza** — nie jest dokładnie znana. Z pewnością Romanowski przeczytał anonimowy szkic historyczny z 1837 r. zamieszczony w *“Przyjacielu Ludu”*, który wziął prawdopodobnie za zapis gawędy ludowej, a opisujący wyzwolenie Nowego Sącza od Szwedów w grudniu 1655 r. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że pomysł napisania utworu o Basi i jej zakazanej miłości do “lutra”, a także buncie mieszczan zrodził się już w 1857 r. Romanowski zafascynowany egzotyką tego wydarzenia szybko bierze się do pracy; przede wszystkim początkowo szuka źródeł historycznych. Za poradą **Darowskiego** pisze 25 stycznia 1858 r. list do **Szczęsnego Morawskiego**, historyka Sądeckizny i malarza:

*“Upewniony o uczynności Szanownego Pana i ośmielony przez Pana Mieczysława Darowskiego — nieznajomy mu — udaję się z prośbą o rzecz dla mnie wielkiej wagi, dla Pana zaś, który, jak słyszałem, nagromadziłeś bardzo szacowne materiały do dziejów wojny szwedzkiej za Jana Kazimierza, mianowicie do teatrum tej wojny na Podgórzu Małopolski, będzie spełnienie mej prośby drobnostką. Głównie chodzi mi o Nowy Sącz i szczegóła zdarzenia, które w odpisie przesyłam.”*

Widocznie nie było to drobnostką, gdyż Morawski prośby poety nie spełnił. Nie otrzymawszy listu od Morawskiego, Romanowski pracuje jednak nad utworem. W Ossolineum znajduje dzieła zawierające niejaki wzmianki na ten temat. Wertując *Klimaktery Wespazjana Kochowskiego, Raczyńskiego Historię panowania Jana Kazimierza, Moraczewskiego Dzieje Rzeczypospolitej Polskiej* i in. Dwukrotnie jeszcze pisze do Morawskiego, z negatywnym jednak skutkiem.

Nic więc dziwnego, że poeta, przebywając w lecie w Krakowie, postanawia odwiedzić Nowy Sącz i zająć się osobiście poszukiwaniem tak potrzebnych mu źródeł. W pierwszych dniach sierpnia przyjeżdża do Nowego Sącza na kilka dni (są to jedyne dni, które poeta spędził w naszym mieście.). Tak relacjonuje swój pobyt w listach do Pawlikowskiego:

*"Tu przyjechawszy porobiłem wszelkie kroki do dostania się do papierów z r. 1655, 1656 i jutro o dziewiątej mam się dostać do archiwum magistralnego; może co tam znajdę. Dziś rozpatrywałem się cały dzień po Sączu i okolicy; przecudna! Cóż, nie mogę jej obrazować taką, jaką jest, bo rzecz dzieje się późno w zimie; starać się będę odzwierciedlić ją choć trochę w duszach moich ludzi ... Wypytaj się Morawskiego o tym fakcie, którego użyłem jako treść poematu mego, i donieś mi wszystko, cokolwiek dowiesz się od niego, do Żukowa."*

I w innym liście:

*"Cały dzień dzisiejszy przepracowałem w archiwum i przeglądałem fascykuly procesów, ugód etc. tak mieszczan, jak i szlachty z r. 1655 szukając za moimi kwestiami; i pozostały one kwestiami nierozwiązanymi dotąd. Po południu przeglądałem przywileje starostwa grodzkiego, Sącza Nowego i miasta królewskiego rządzącego się prawem magdeburskim. Cudne są to rzeczy, a sięgają bardzo dawnych czasów; aż po Stanisława Augusta prawie każdy książę i król Piast, potem Jagiellony i Wazowie, i obieralni królowie dawali miastu jakieś przywileje nowe i potwierdzali stare. Ostatni nie dał nic Sączowi. Kilka z nich przeczytałem i znalazłem ciekawe szczegóły, dotyczące się cechów miasta i tę stronę mojej rzeczy mam już rozświetloną. Zachwycony jestem tymi wszystkimi rzeczami."*

Ale materiałów do swojego poematu autor nie znalazł. Nie dotarł nawet do tych informacji, które znalazł Szczęsny Morawski, a później inny historyk Nowego Sącza, **Jan Sygański**. A chodziło o nazwiska burmistrza w tych latach, bogatszych i grających historyczne role mieszczan, słowem, ludzi, którzy zasłużyli się w insurekcji przeciwko Szwedom. A także dowódcy załogi nieprzyjacielskiej i zdrajców z nimi kolaborujących. Dopiero praca wspomnianego Morawskiego, wydrukowana w dodatku miesięcznym do "Czasu" w lutym i marcu 1858 r. przynosi mu potrzebne wiadomości. Z niej zaczerpnął poeta podstawowe informacje m.in. o kulcie Kingi na ziemi sądeckiej, splądrowaniu grobów nowosądeckiej kolegiaty, nazwiska osób historycznych działających podczas powstania, topografię ówczesnego miasta, dokładne daty itp.

Po przestudiowaniu tego artykułu poeta wziął się do całościowego opracowania poematu, który ukończył w 1860 r. W druku ukazał się on w dodatku arkuszowym do numerów 3, 5, 10, 12, 14 "Dziennika Literackiego" pod pełnym tytułem: *Dziewczę z Sącza. Rzecz mieszczarska z czasu wojny szwedzkiej roku 1655*. Przez krytykę został od razu uznany za najlepszy i najdojrzały utwór Romanowskiego.



\*

Poemat Romanowskiego nie jest sądeczanom zbyt szeroko znany, zwłaszcza młodszymi. Dostęp do dzieła nie jest rzeczą najłatwiejszą. Ogólnopolskie wydania miały miejsce w serii Biblioteki Narodowej (dwa w latach dwudziestych i jedno w sześćdziesiątych). Dlatego rzeczą przydatną — w tym również i dla interpretacji — będzie przypomnienie głównych elementów fabularnych utworów.

Sam poeta, w części wprowadzającej napisanej prozą, naświetla historyczne podłoże, na tle którego rozgrywają się perypetie wojenne i miłosne. Jest to rok 1655, znany wszystkim jako początek potopu szwedzkiego. Prawie cały kraj zajęty jest przez wroga, Nowy Sącz również. Akcja rozgrywa się w grudniu, kiedy to jeszcze Częstochowa jest oblężona. Dopiero 25 grudnia Szwedzi od niej odstąpią. Rodzi się na Pogórze opór. Wielu szlachciców i mieszczan ucieka do Czarnieckiego. Również taka sytuacja panuje w naszym mieście. Za powiększanie szeregów obrońców Rzeczypospolitej groziła miastu rzeź. Mieszczanie dowiedziawszy się o tym wywołują powstanie 13 grudnia, które dzięki wojskom braci Wąsowiczów przybywającym z pomocą, odniosło zwycięstwo.

Podania sądeckie głoszą, że miasto uniknęło rzezi dzięki pewnej dziewczynie, w której zakochał się oficer szwedzki i uprzedził ją o planie zagłady miasta. Dziewczyna ta wszystko wyjawiała mieszczanom. To właśnie wydarzenie stanowi podstawę akcji w utworze. Na koniec poeta wyjaśnia, że używa imion i nazwisk autentycznych mieszkańców miasta. Fikcyjnymi postaciami są tylko: Basia, Bartek, Janusz — dziadek Basi, jej babka i Jacek — kupiec i emisariusz z Częstochowy.

## Wieczorem

Rzecz rozpoczyna się wieczorem w niedzielę adwentową w domu Janusza. Wszyscy domownicy odpoczywają, a Basia czyta im żywoty świętych. Jest tu też sławny cieśla Bartek, który wychowywał się od maleńkości z Basią. W przerwie czytania Janusz narzeka na Szwedów, którzy już od sześciu tygodni grabią miasto. Dowiadujemy się też, że u nich na kwaterze mieszka Szwed o imieniu Oskar, którego Basia bardzo broni mówiąc: *“choćby słyszał dziadka mowy, pewnam, nikomu włos nie spadłby z głowy”*. Bartek sprzeciwia się jej ostro, gdyż dla niego żaden luteranin nie może być dobrym człowiekiem. A więc w tej części mamy zawiązanie głównego wątku — miłość do wroga i innowiercy, zazdrość Bartka, który kocha się w Basi. Drugi wątek, to nienawiść mieszczan do wroga, gdyż gnębi i łupi miasto.

## Sam na sam

Basia na samą myśl o walce z wrogiem rozpląkała się. Bartek ją uspokaja i wyznaje swą miłość. Lecz spotyka się z niezrozumieniem, odrzuceniem uczucia. Grozi wówczas, że zabije się z miłości. Ze słowami: *“Niech ci Bóg przebaczy”* rozstaje

się z Basią. Rysuje się tutaj motyw ewentualnego przekleństwa przez Boga.

## Przy studni

Nie mógł wzruszyć jej swym wyznaniem Bartek, gdyż serce Basi przepętnia miłość do Oskara, którego powrotu spodziewa się lada chwila. Usłyszawszy jego kroki, wybiega Basia niby po wodę do studni, aby tylko z nim się spotkać. Oskar wita ją czule i następuje scena miłosna, w której oboje wyznają sobie miłość. Basia nie widzi przeszkód dla małżeństwa, byleby Szwed zmienił swą wiarę na katolicką. Całą tę scenę widzi z ukrycia Bartek i chce zabić ze strzelby rywala. Powstrzymuje go czeladnik i prowadzi do gospody Janusza, gdyż tam zebrali się mieszczenie na radę. A Oskar przy studni *“miłość mieszał z tajemnicą, bo u niej bladło, to kraśniało lico”*. Basia poznaje plan zagłady miasta, ale miłość przesłania jej wszystko.

## Gospoda

W tej części poeta wymienia wiele autentycznych postaci, które gromadzi w gospodzie. Jest tu sam burmistrz, Marcowicz, Cyrus — cechmistrz szwowski, Świątłowicz — karczmarz, Gadowicz — właściciel młyna, Olexowicz — sukiennik, szafarz Borycki, Bogdajłowicz — prarajca. Wszyscy narzekają na wzmagający się ucisk szwedzki, rabunki i kontrybucje. Wymieniają trzech zdrajców, którzy podpowiadają Szwedom, jak łupić mieszczan. Stach Krawczyk zaofiarował się ich nawet zabić. Rozpoczyna się dyskusja, czy zbrojnie oprzeć się Szwedom. Rysuje się tu wyraźny podział między starymi a młodymi. Starzy proponują czekać do wiosny, młodzi chcą walczyć od zaraz. Wtem wbiegają dzwonnik Nikburowicz i grabarz Trela z wieścią, że w nocy Szwedzi weszli do kościoła św. Małgorzaty i rabują. Tym goręcej Bartek nawołuje do zbrojnego oporu. W gospodzie zjawia się nowa postać. Jest nią kupiec Jacek, który wrócił z Częstochowy i opowiada o cudownym ocaleniu klasztoru. Przyszedł tu, bo tak nakazał mu ksiądz Kordecki: *“Idźcie wy, ojce, każdy w swoje strony, idźcie! wzywajcie ludzi do obrony”*.

## Odkrycie

Bohaterka siedzi przy kominku i marzy o swoim ukochanym. Wyobraża sobie swój ślub i wyjazd w ojczyste strony Oskara. Nagle zrobiło się jej żal, że będzie musiała opuścić dziadków i znajomych. Modląc się do obrazu Matki Boskiej, czuje, że jest przez nią przeklęta. Dopiero wtedy przypomina sobie, że Oskar mówił coś o zgubie miasta. Na wpół obłąkana woła: *“Mord! rzeź w mieście”*. Przebudzony dziadek wybiega z domu, lecz widzi miasto uśpione, tylko w gospodzie toczą się rozmowy. Wraca do izby i prowadzi dziewczynę do gospody, aby wszystko opowiedziała obradującym mieszczanom. Ona na wpół przytomna milczy. Dopiero gdy Jacek zaczął się przy niej modlić, wraca jej przytomność. Opowiada o miłości Oskara, który w tajemnicy mówił jej o tym, że pojutrze rano Szwedzi planują miasto podpalić,

a ludność wymordować. Janusz wydaje polecenia, aby wszyscy przygotowali się do powstania, a sam prowadzi Basię do kolegiaty.

## Rzeź

Na drugi dzień wieczorem rozbrzmiewają wszystkie dzwony. Janusz z Jackiem widzą znaki na górach, które dawał Bartek. Z kolei w kościele są dwie osoby. Są to: ksiądz przy ołtarzu, a przed nim klęcząca Basia. Modlą się. Basia widzi swoją przyszłość w ciemnych kolorach, planuje wstąpić do klasztoru. Ksiądz ją uspokaja mówiąc, że dostąpiła wielkiej łaski: *“Tyś od niebios Pana na ocalenie miasta jest wybrana”*. Nagle dziewczyna słyszy odgłosy walki, wybiega z kościoła i kieruje swe kroki w stronę bramy Młyńskiej. Mija kościół św. Ducha, w pobliżu którego Wąsowicz z gromadą górali walczy ze Szwedami, zamkniętymi na pobliskim cmentarzu. Basia nie zważa na walkę, tylko szuka Oskara, bo *“Wie, gdzie jest Oskar, i wie, że on żyje — żyć musi, bo jej serce dotąd bije. Zamilkłoby, gdyby on padł ... Paść nie może, pokąd ja przy nim głowy nie położę!”* W końcu zobaczyła Oskara, którego atakuje Bartek. Podczas pojedynku, w momencie gdy Bartek ma zadać Oskarowi śmiertelny cios, Basia zastrzela go swym ciałem. Widząc tak wielką miłość, Bartek odstępuje od walki. Lecz Krawczyk strzelił Szwedowi prosto w serce. W tym momencie pada martwa Basia. Bartek z rozpaczy włącza się w największy wir walki, jakby szukał śmierci.

## Trumna

*“Ciesielską izbę ozłociło rano,*

*A Bartek ciosał trumnę modrzewianą; (...)*

*Bo to dla Basi ta trumienka biała.”*

Bartek wykonawszy trumnę dla Basi, jej *“domek cichy”* przeżywa najpierw ostrą depresję, ale później, nie mając dla kogo żyć, idzie za bojowym wezwaniem do ostatecznej rozprawy ze Szwedami.

Istnieje też inny wariant zakończenia, w którym opisany jest pogrzeb głównej bohaterki.

\*

Mieszczański temat zdecydował o tym, że poemat (powieść poeticka) Romanowskiego znalazł wśród krytyków powszechne uznanie nie tylko w wieku dziewiętnastym. Nie jest całkowitą prawdą, że autor wprowadził po raz pierwszy do literatury polskiej mieszczaństwo, ale to, że uczynił tę warstwę społeczną najważniejszym podmiotem działań dramatycznych, że wyznaczył jej taki obszar działania, na którym mogli odegrać w pełni swoje role. A jednak w kontekście wielu wypowiedzi autora w ciągu swojego życia na temat społecznej roli szlachty można zasugerować, że autor raczej widział mieszczan jako *“niższych”* od swych herbowych

braci, że wyznaje solidaryzm społeczny.

Bunt mieszczan przeciwko Szwedom w świetle utworu rysuje się bardziej jako próba obrony tego, co bohaterowie posiadają, niż jako pełna świadomość patriotyczna i obywatelska. **Stanisław Lam** pisze: *“Studia rozległe nad ówczesnym mieszczaństwem uchroniły autora od zasadniczego błędu, jakiemu mógł ulec, przypisując powstanie 13 grudnia 1655 r. poczuciu obywatelskiemu, spełnianiu powinności i posług zagrożonej sprawie. Romanowski pojął tak, jak było w istocie, owo zerwanie się — jako akt samoobrony ... Inna sprawa, że ci, broniący siebie tylko z tak dobrym skutkiem, mieszczenie dodali animuszu wojennego całemu Podhalu i rzucili zarzewie wielkiego a zbawiennego dla Polski ognia, który wreszcie cały ogarnął naród. — Skutek to jednak nie przewidywany przez nich, a więc i zasługa pośrednia tylko”.*

Podczas narady w części czwartej, *Gospodzie*, dochodzi do dyskusji między trzema warstwami mieszczan: patrycjatem miejskim, mistrzami rzemieślniczymi i młodzieżą, reprezentowaną przez Bartka i czeladników. Patrycjat jest kunktatorsko nastawiony do możliwości wywołania buntu przeciwko Szwedom, narzekaniom na swoją ciężką dolę, a zwłaszcza na straty materialne, nie ma końca. I tak Cyrus, cechmistrz miejski, skarży się, że ma już pustą kieszę; Świątłowicz, kramarz, od czasu przybycia Szwedów, nie zarobił ani jednego szeląga; Gilowi zabrano całą sól i wypito browar; Gadowiczowi, *“Co młyn miał i żarno”*, najeźdźcy odebrali ziarno i mąkę, a Olexowiczowi sukno i falendysz, itd. Słów krytycznych wobec łupieżczej polityki komendanta Sztajna nie może w spokoju słuchać burmistrz Marcowicz i dyskretnie wychodzi (gwoili sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że odznaczy się podczas buntu przeciwko agresorowi). Winę za tę drastyczną sytuację mieszczenie przypisują arianom, Szlichtingowi i Wielogłowskiemu, oraz Żydowi Finkielowi, dlatego też powstaje plan, by ich skrytobójczo zabić. Do tego czynu wzywa Krawczyk, mając nadzieję, że młodzież mu w tym pomoże. Ale Bartek widzi sprawę sądecką dużo szerzej:

*“Spójrzcie no! z młodych każdy już gotowy*

*pójść i rznąć. Ojce! skłońcie jeno głowy*

*Na znak, że zgoda i po waszej woli,*

*A w trzy dni koniec lutrom i niewoli.”*

Zarysowuje się tutaj typowy dla epoki romantyzmu konflikt między “siwymy włosami” a młodzieżą. *“Romantyzm przyznaje młodości szczególnie ważną, nie spotykaną dotąd rolę kulturową, wiąże ją z postawą krytyczną wobec świata, ideą postępu i romantyczną ideą narodu. Odtąd konflikt pokoleń wchodzi na stałe do stylu myślenia o całokształcie kultury i wartościowany jest pozytywnie. W organicznej i historycznej wizji społeczeństw jako żywych całości, podległych procesom rozwoju i zamierania, samo przeciwstawienie “starych” i “młodych” staje się konstrukcją*

*ideologiczną i nadaje młodości misję odrodzenia świata*". Na nic jednak nie zdaje się wezwanie Bartka do powszechnego buntu. Patrycjat zarzuca mu albo szaleństwo, albo upicie się, kontrargumentując, że miasto może zostać w odwecie zburzone, rodziny wymordowane, a nikt nie ma prawa wziąć tego na swoje sumienie. Stanowisko rajców wypowiada Jędrzej Suszycki, pisarz miasta:

*"To jeszcze dodać z konieczności muszę,  
Że od wojaczki wolni są mieszczanie:  
Tak w konstytucjach powiada pisanie (...)  
Jak przykazuje konstytucja nasza;  
Zresztą mieszczanin nie jest od pałaza."*

W końcu, za radą spolszczonego Niemca, Fryderyka, uzgodniono, by czekać wiosny, gdyż wówczas łatwiej będzie ukryć rodziny w okolicznych górach i lasach.

Dopiero, gdy pod wpływem modlitw i zaklęć, wydobywają od Basi wieść o rychłym spaleniu miasta i wymordowaniu jego mieszkańców, bohaterska część natury przechyla szalę. Prawie wszyscy zgodnie, i z wprawą iście rycerską, walczą ze Szwedami i z pomocą braci Wąsowiczów, i ich wojsk, wyrzynają załogę nieprzyjaciela. Tak więc to nóż na gardle zmusił mieszczan do buntu i konkretnego działania przeciwko wrogowi. Tylko Bartek, uświadomiony narodowo — może pod wpływem zazdrości o miłość Basi do wroga Oskara — woła po zwycięskiej walce: *"Więc za nim! (tj. Czarnieckim) — Bartek zawołał do młodzi — Za nim! nad Polską nowe słońce wschodzi"*. Dodajmy tylko, że Bartek po śmierci Basi stracił wszystko, dla czego żył i o czym marzył.

Sporne są interpretacje dotyczące skreślenia przez autora postaci mieszczan sądeckich. Lam pisze o plastyczności i wyrazistości, a także o swoistym "życiu", nie papierkowym, lecz prawdziwym, głęboko zakorzenionym w wieku siedemnastym, o realizmie postaci dramatycznych, natomiast Olszaniecka sugeruje swoistą uniwersalność bohaterów, ich niedookreśloność: *"Bartków, Januszów, Krawczyków można by właściwie umiejscowić w czasie o kilka wieków późniejszym. Znamion XVII wieku nie nosi ani ich sposób ubierania się (bo go nam autor nawet nie sugeruje), ani ich obyczaje (prawie ich nie znamy), ani ich język (podobnie mogłaby przemawiać dziewiętnastowieczna szlachta, tylko że polszczyznę krasiałaby obficie łacina)"*. Naszym zdaniem jednak parę postaci wyodrębnia się w utworze w sposób pozytywny. Wyrazistą postacią jest dziadek Basi, Janusz, którego słowa:

*"Tu był król, z nami; dziś kędyś w Głogowie;  
A nasz Bylina, rotmistrz, padł w Krakowie,  
I Czarnieckiego, żelazne to ramię,  
Zgina Bóg, choć go jeszcze nam nie łamie;*

*Hetmany bez wojsk, starosta na Spiżu,  
A my w ucisku, jak przy nowym krzyżu,  
Korzym się ...”*

nie tylko określają gorycz sytuacji, ale także i perspektywę patriotyczną utworu. Konkretna i plastyczna jest postać Stanisława Krawczyka, trochę samochwały i zabijaki, który podczas buntu odznaczył się dużym bohaterstwem. Karykaturalny typ reprezentuje pisarz miejski, Suszycki, formalista podszyty strachem. Komiczne typy reprezentują zwaśnieni, Pijanowski i Jameński, a Jacek jest dość typowym reprezentantem znanego w literaturze polskiej emisariusza. Najbardziej krwisty wydaje się Bartek, rozdarty między miłością a nienawiścią, osobistą zemstą a patriotyzmem, okrucieństwem a wspaniałomyślnością wobec rywala. Przykłady, które podaliśmy, nie wyczerpują całej panoramy postaci opisanych w utworze. Ich osobista wyrazistość, a także siła i skuteczność działania sprawiły, że w polskiej tradycji historycznoliterackiej *Dziewczę z Sącza* nosi przydomek “eposu mieszczańskiego”.

\*

Cechą charakterystyczną utworu jest jego religijność. Już w pierwszych frazach zaakcentowany jest silnie katolicyzm działających w nim postaci. W izbie Janusza czyta się wieczorem *Żyoty świętych* Piotra Skargi, odmawia wspólnie modlitwy, indywidualnie zaś różaniec, na ścianach wiszą obrazy Matki Boskiej i Chrystusa w Ogrojcu. Wyznanie od Basi o zbliżającej się katastrofie uzyskuje Jacek za pomocą szkaplerza poświęconego w Częstochowie i modlitw. Również odległa Częstochowa ukazana jest jako symbol niepodległej Polski. Wspomina się o cudach sprawionych ręką boską. Zbyszczeszczanie grobów kolegiaty wywołuje wśród mieszczan szczery odruch nienawiści i bunt. Szwedów traktuje się jako nienawistnych “lutrów”, a arianie sądeccy to kolaboranci występujący się wrogowi. Dlatego też konflikt religijny między Polakami a Szwedami jest obok narodowego i materialnego współsilnie obecny. *“Między wiernością religii a wiernością ojczyźnie kładzie autor znak równania, obrona Polski przed najeźdźcą szwedzkim jest zarazem obroną katolicyzmu przed luteranizmem. Miejscowi arianie traktowani są jako zdrajcy i przeniewiercy sprawy narodowej. Polska przedmurzem chrześcijaństwa, polskość synonimicznie pojmowana z katolicyzmem — to motyw wielu utworów Romanowskiego (...) W poemacie o mieszczanach brzmi on szczególnie fałszywie i tendencyjnie. Fanatyzm, nietolerancja religijna skaziła patriotyzm i w nich widzimy rysę na wizerunku mieszczańskich bohaterów »sprawy sądeckiej«”* — tak pisze Olszaniecka. Łagodźmy trochę jej zdanie. Dzięki takiej perspektywie Romanowski otrzymuje czystość konstrukcyjną i ideologiczną poematu, nie wpada w kłopoty wynikające ze zróżnicowania autentycznych postaw arian w tej konkretnej sprawie. Olszaniecka zdaje się nie zauważać, że spolszczony Fryderyk wiadomości

o zwycięstwie w Krośnie, postępiech na Spizu, formowaniu wojska przez starostę, o Wąsowiczach otrzymuje właśnie od arianina! Faktem historycznym jest, że część arian nie poparła Szwedów, chcąc jedynie tolerancji religijnej. Drugim faktem jest, że duża część arian poparła wojska Karola Gustawa, co będzie bezpośrednią przyczyną wygnania ich z Polski, a co stanowi kulturowe pęknięcie na tolerancji polskiej.

\*

Jednym z najważniejszych i najbardziej charakterystycznych tematów romantyzmu jest miłość. W *Dziewczęciu z Sącza* jest ona motywem dość oryginalnym, niezbanalizowanym, mimo iż Romanowski należy do trzeciego pokolenia romantyków. Eteryczna psychicznie Basia kocha się nie tylko w człowieku innej wiary, ale także we wrogu. Ale jej dziecięca naiwność nie widzi żadnych przeszkód, by ta miłość mogła się spełnić. Wystarczy by "luter" zmienił religię na katolicką, a oboje połączą się na zawsze. Basia jest bohaterką trochę pasywną. Nawet wiadomość uzyskana od kochanka o zbliżającej się zagładzie miasta nie budzi w niej bohaterki na wzór Joanny d'Arc. Jest nieczuła na sprawy narodowe, na sprawy miasta; wierzy święcie w to, że Oskar uratuje ją i dziadków podczas wojennej zawieruchy i weźmie z nią ślub. Los współmieszkańców jest dla niej prawie że obojętny. Nie ma w sobie nic z pierwiastka bohaterskiego. Tajemnicę zbliżającej się rzezi wydobywa z niej Jacek, gdy ona jest w pewnym pomieszczeniu zmystów, za pomocą usilnych modlitw i zaklęć. Może to i nawet lepiej dla poematu, gdyż postać Basi wydaje się nam poprzez swoją zwiewność, bezradność, naiwność i zauroczenie miłością bardziej pociągającą i piękniejszą, niż bezwzględna bohaterka bez skazy i wahań, wiodąca mieszczan przeciwko wrogowi. Jest:

*"(...) Tym dniem pierwszym wniebowzięta,  
Jak anioł stoi, topiąc w nim (Oskarze) oczęta  
Pełne promieni ... Myśli w niej nim wstaną,  
Czuje jak kocha i jak jest kochaną."*

Ale miłość Basi jest grzeszna. Zostaje przez nią ukarana wizją odrzucającej ją Matki Boskiej:

*"Chwając się, rękę do Marii obrazu  
Podniosła; ręka opadła, jak z głazu:  
»Ratunku: Matko!« Nagle trupio sina  
Krzyknęła: »O! o! Maria mnie przeklina!«  
I padła ..."*

Motyw zazdrosnego Boga przewija się przez romantyzm polski. Miłość potraktowana jako grzech — wyczuwa się wpływ *Marii Antoniego Malczewskiego*

— wnosi do poematu tragiczną, ponurą tonację:

*"Mnie Matka Boża duszę wzięła  
Z piersi; tę moją duszyczkę przekłęta."*

Wywołuje to stan pomieszania zmysłów u bohaterki i dzięki temu, z podświadomości, wypływa wiadomość o zbliżającej się rzezi miasta, którą rozszyfrowują mieszczanie.

Miłość romantyczna nie byłaby sobą, gdyby nie pochodziła z gleby nieco wyższej niż ziemia, gdyby nie była igraszką losu, przeznaczenia. Również i Oskar nie może jej nie ulec, gdyż siły nadprzyrodzone mu tę miłość darowały:

*"(...) Chłopiędziem jeszcze. Biegłem ku jezioru  
Raz w letni ranek, wtem nadeszła z boru  
Wróżka znajoma u nas dookoła,  
Że znała leki i zbierała zioła.  
Jam stał, a ona wpatrzyła się we mnie,  
Jakby mą duszę chciała dobyć ze mnie,  
I rzekła: »Dziewczę serce ci rozпали...  
Krwi będą ludzie od ciebie żądali,  
Ty chwycisz serce! taka twoja droga,  
A każda droga wytknięta od Boga«."*

Miłość Oskara do Basi jest więc mu już w dzieciństwie przypisana. Teraz staje on przed trudnym dylematem moralnym: uprzedzić Basię o bliskiej rzezi, a przez to zdradzić swoich, czy też zachować tajemnicę w sobie i poświęcić miłość. Wybiera zdradę wobec swojego narodu — miłość jest silniejsza niż kraj, niż religia.

Między Oskarem i Basią istnieje pewna nić telepatyczna. Gdy ksiądz w kościele odprawia za nią modły i nawołuje do skruchy i wyparcia się miłości do "Iutra", Basia sercem przeczuwa, że kochankowi grozi niebezpieczeństwo:

*"Ojczy, ach! tam ktoś umiera,  
A dusza z ciała wylecieć nie może!"*

Nie poddaje się egzorcyzmom księdza, lecz znajduje Oskara, by własnym ciałem zasłonić go od topora Bartka. Gdy Oskar ginie z ręki Krawczyka, tak i Basia ginie jak "Ścięta lilia". Spełnienie miłości bohaterów może nastąpić jedynie po ich śmierci.

Jest i trzecia miłość. Miłość dzika, nieposkromiona, pełna poświęceń, ale i zazdrości, i jadu. Miłość na granicy szaleństwa, czy samobójstwa. I jest to miłość tragiczna. Bartek kocha Basię już rok trzeci, ale zostaje przez nią odepchnięty.



Zrażona duma omal nie czyni z niego skrytobójcy, gdyż, widząc spotkanie kochanków przy studni, chce zastrzelić Szweda. Miłość Bartka uświadamia mu jego patriotyzm, to ona generuje jego chęć zemsty na wrogach. Czuje, że stracił coś najważniejszego w życiu i czuje w sobie potrzebę odwetu. Ale stać go też na prostoduszną wspaniałomyślność. Podczas pojedynku z Oskarem, nie dość, że na krzyk rozpaczy niedostępnej dla niego dziewczyny wstrzymuje cios, ale jeszcze swoim ciałem chce uchronić wroga przed śmiercią:

*“Stójcie! on jutro będzie katolikiem*

*Dla niej; ja ręczę ...”*

Po śmierci Basi sam szuka śmierci w boju. Po skończonej już bitwie szykuje dla swej ukochanej trumnę i, wzywając towarzyszy do dalszego boju, idzie walczyć za Polskę.

Wydaje się, że wezwanie Bartka odnosi się raczej do współczesnych Romanowskiemu, którego twórczość w dużej mierze poświęcona jest sprawie narodowej. Mamy zatem do czynienia z tzw. poematem (lub powieścią poetycką) maski, utworem, który poprzez historyczny wybór tematu — dość typowy dla romantyków — stara się coś zakomunikować współczesnym; w tym wypadku jest to hasło wezwania do powstania przeciwko zaborcom. Przykłady *Grażyny* i *Konrada Wallenroda* są tutaj interpretacyjną wskazówką.

\*

Nie od rzeczy wspomnieliśmy o **Mickiewiczu**. *Dziewczę z Sącza* dużo zawdzięcza *Panu Tadeuszowi*. Romanowski wzorował *Gospodę* i *Rzeź* na księgach Mickiewiczowej epopei: *Radzie* i *Bitwie*. Nie wyszedł z tego naśladownictwa zbyt szczęśliwie. Argumenty Bartka są prawie że argumentami Gerwazego, a opis sądeckich mieszczan przy radzie próbuje — trzeba powiedzieć prawdę: dość nieudolnie — naśladować radę szlachty dobrzyńskiej. Wpływ wspomnianej *Marii Malczewskiego* na tragiczny splot miłosny jest dużo bardziej subtelny.

Elementem także typowym dla romantyzmu jest zwrot ku tradycji ludowej, uosobionej tu przede wszystkim przez Basię, postać wywodzącą się — według mniemania autora — z legendy. W ten sposób romantycy uprawomocniali ideową zawartość dzieła. Również rysy cudowności (spotkanie Bartka z topielicami, wróżba Oskara, wiara w możliwość przemienienia się w jaskółkę itp.) są nie tylko romantyczne, ale z równym powodzeniem mieszczą się w mentalności ludzi z XVII w. Podkreśla to realizm utworu.

Estetycznie rzecz traktując, utwór Romanowskiego jest dość nierówny artystycznie. Ciepło i delikatnie opisana jest gospoda Janusza, walka serc między Basią a Bartkiem ma duży ładunek emocjonalny, na dużą uwagę zasługuje dramatyczny bieg Basi, by uratować ukochanego. Poetyckie skojarzenia, ostre efekty



światłne, wizja dziewczyny na tle palącego się miasta, operowanie bogatą metaforą — wszystko to zapada w pamięci czytelnika. Poemat pisany jest jedenasto-  
zgłoskowcem, parzyście rymowanym, z cezurą po piątej zgłosce, czego autor ściśle  
nie przestrzega. Najdojrzalszym fragmentem jest opis wieczoru poprzedzającego  
walkę — jest to świetny przykład impresjonizmu romantycznego:

*“Wieczór się zbliżał; niebo jasne, czyste.  
Na Tatrach słońce stanęło ogniste  
I ogniem spłonął Tatrów łańcuch biały.  
W ogniu Dunajca ścięte w lód kryształy,  
Baszty i wieże, i obronne mury  
Świeciły blaskiem wieczornej purpury;  
W borach mrok siadał. Tak się z dniem żegnało  
Słońce, malując okolicę całą...  
I zaszło. Tatrów królowna, Łomnica,  
Sama słoneczna zachowała lica,  
Ale wnet, senna, zsiniała i zbladła,  
I noc na miasto i na góry padła.”*

I mimo wspomnianej nierówności artystycznej pozostaje w pamięci przecież  
wrażenie tragicznej miłości, która splątana w wątki wojenne, religijne i nadprzy-  
rodzone nie mogła się zakończyć inaczej, tak że utwór Romanowskiego pozostaje  
żywym do dziś i dopiero *Potop Henryka Sienkiewicza*, również splatając miłość  
i historię w nierozzerwalny węzeł, ukaże pełną panoramę wojny szwedzko-polskiej.  
Ale Romanowski założył sobie “sądecki” punkt widzenia na czasy tej wojny  
i skromność tego założenia wysłała dziełu na dobre.

## ZWIĄZKI WIZERUNKU ŚW. WALENTEGO Z SADECCYZYŃĄ

W kościele paszyńskim znajduje się obraz św. Walentego przekazany tutaj z limanowskiej parafii.

W Limanowej parafia powstała około roku 1513, a pierwszy kościół w niej zbudowano przed rokiem 1527. Pozostawał pod wezwaniem całego szeregu Świętych, pośród których św. Walenty wymieniony był jako trzeci patron tego kościoła tuż po Matce Bożej Różańcowej i Apostołach, a przed św. Mikołajem, św. Zofią, Jedenastoma Tysiącami Dziewic (towarzyszek św. Urszuli), św. Wawrzyńcem, św. Krzysztofem i św. Cecylią.

Pośród czterech ołtarzy tego drewnianego kościoła prawy boczny poświęcony był św. Walentemu. Ołtarz ten był tryptykiem z postacią Świętego w jego środkowej części oraz ze scenami z jego życia na kwaterach bocznych skrzydeł. Uroczyście, z procesją obchodzony był odpust w dniu św. Walentego — 14 lutego.

W roku 1639 podano, że kościół w Limanowej pozostaje pod wezwaniem św. Walentego, zaś w roku 1727, iż wizerunek Świętego znajdujący się w nowo wzniesionym ołtarzu głównym limanowskiego kościoła słynie łaskami. Wówczas kościół ten nosił wyłącznie wezwanie św. Walentego. Wizerunek Świętego odbierał tutaj cześć zwłaszcza od wieku XVII po koniec wieku XVIII.

Po pielgrzymach ciągnących na odpust do Limanowej w dniu św. Walentego pozostało porzekadło: *“Na świętego Walentego ptak się napije w koleinie”*. Nastające w połowie lutego odwilże łagodziły zimę, stąd Święty stał się tutaj zwiastunem wiosny. W Limanowej i jej okolicy nadawano często na chrzcie chłopcom imię Walenty jeszcze pod koniec wieku XIX.

Do kościoła w Limanowej przeniesiona została w roku 1753 z mszalnej kapliczki w Mordarce odbierająca w niej cześć gotycka, z wieku XV, figura Matki Bożej Bolesnej. Kościół ten sponął w roku 1769. Figurę Piety uratowano z płomieni. Wnosząc ją do nowo zbudowanego przed rokiem 1787 drugiego z kolei drewnianego kościoła w Limanowej, nadano mu wezwanie Matki Bożej Bolesnej. Począł zanikać kult św. Walentego. W nowo wymurowanym w latach 1911–1918 kościele w Limanowej nic już nie przypomina pierwotnego patrona tej parafii i kościoła. Jedynie w odrestaurowanej kapliczce położonej obok dworu Marsów w Limanowej — dzisiaj dwór jest siedzibą Muzeum Regionalnego — widnieje wizerunek Świętego.

Kim był św. Walenty?

Był chrześcijańskim kapłanem w jeszcze niechrześcijańskim Rzymie, w którym żył w drugiej połowie III wieku. W czasie prześladowań chrześcijan za wiarę wspomagał męczenników w godzinie ich śmierci. Ujęty, osadzony w Rzymie w więzieniu, bity maczugami i ścięty mieczem, poniósł śmierć męczeńską za panowania cesarza Klaudiusza II Gockiego.

Pochodzenia łacińskiego jego imię — VALENS — oznacza: mocny, potężny.

W szeregu Świętych, których imiona umieszczone zostały w obowiązującym kalendarzu katolickim, zreformowanym przez papieża Pawła VI, św. Walenty czczony jest w dniu 14 lutego — dniu wigilii jego męczeńskiej śmierci. Przedstawiany jest w kapłańskiej albie, z palmą męczeńską w dłoni, często z mieczem, którym go ścięto. Atrybutem Świętego jest słońce na piersi, gdyż sędziemu wydającemu nań wyrok dowodził, że Chrystus jest słońcem sprawiedliwości. Drugim atrybutem jest leżące u jego stóp dziecko, które uleczył z epilepsji. Stał się ten "mocny" Święty opiekunem dotkniętych zagrażającymi życiu chorobami i kalectwem.

Imię Walenty znane było w Polsce od schyłku średniowiecza. Rozprzestrzeniło się w wieku XVI, kiedy ciągnące przez Polskę karawany kupieckie, przemarsze oddziałów wojskowych często bywały powodem roznoszenia chorób morowych — zakaźnych — wyludniających wówczas miasta i wsie.

Czci się św. Walentego w Polsce szczególnie w chorobach: dżumy, epilepsji, podagrze. Jest patronem chorych umysłowo. (Polska była jedynym krajem w Europie, w którym choroby umysłowej nie traktowano jako opętania przez szatana, a co za tym idzie chorych nie zamykano dożywotnio w więzieniach, nie topiono, nie przykuwano do skał. Szpital dla tak chorych założono w Krakowie na przełomie wieku XV/XVI. Francja uczyniła to za przykładem Polski dopiero w wieku XVIII.)

W Nowym Sączu wzniesiony został z fundacji mieszczan w roku 1464 po południowej stronie murów fortecznych miasta niewielki kościół pod wezwaniem św. Walentego. Broniąc mieszkańców miasta przed przenikaniem do niego chorób morowych zbudowano w roku 1499 przy tym kościele szpital dla zadżumionych.

Kościół ten i szpital spłonęły w czasie walk ze Szwedami 13 grudnia 1655 r.

(W okolicach Nowego Sącza obrazy św. Walentego znaleźć można w kościele parafialnym w Starym Sączu oraz w Bobowej. W Tarnowie koło starego cmentarza usytuowana jest kapliczka wzniesiona Świątemu w roku 1798. W diecezji tarnowskiej poświęcone św. Walentemu ołtarze i obrazy znajdują się w Bochni, Chełmie, Rajbrocie, Jastrzębi, Lubczy, Porębie Spytkowickiej. W tej miejscowości, nieopodal kościoła, jest źródło zwane "św. Walenty" lub "Walentynówka". Miasto Przemyśl i diecezja przemyska przyjęły za swego patrona św. Walentego. Na Słowacji, w Preszowie, poświęcony jest Świątemu jeden z ołtarzy miejskiego kościoła.)

Opiece św. Walentego polecali się także zakochani. Rzymski, pogański obyczaj przypadający na dzień 14 lutego — święto bogini dziewcząt Februaty Juno — nakazywał chłopcom rysowanie obrazków z imionami swych ukochanych. Wyprasali nimi u bogini jej przychylność dla swych uczuć. Chrześcijaństwo, adaptując ten obyczaj, wprowadziło w treść tych obrazków wizerunek św. Walentego.

Zwyczaj przesyłania sobie przez zakochanych podarków, listów i obrazków miłosnych w dniu św. Walentego zakorzenił się w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Przybrał tam formę zaznaczania dnia św. Walentego w merkantylnym jego znaczeniu



***Kościół w Paszynie w budowie. Zdjęcie ze zbiorów rodziny Remich***

dla wytwórców okazjonalnych przedmiotów.

W Polsce — jak dotąd — zwyczaj “walentynek” nie był praktykowany. Obecnie odczuwalna amerykańskizacja polskiego stylu życia daje o sobie znać m.in. wprowadzaniem u nas tego obyczaju. Nie bacząc na obcość tego zjawiska w polskiej kulturze starają się wprowadzić “walentynki” doń ci, którzy wykorzystują każdą okazję dla przysporzenia sobie profitów finansowych. Wśród ujednoliconych obecnie społeczeństw Europy jedynie zachowanie własnej, dawnej kultury może Polskę wyróżnić.

Pochodzący z kościoła limanowskiego obraz św. Walentego usytuowany jest w kościele w Paszynie po stronie prawej chóru muzycznego.

Oddalenie wsi Paszyn od jej parafialnego kościoła pod wezwaniem św. Małgorzaty w Nowym Sączu skłoniło ówczesnego jej proboszcza ks. infułata **Romana Mazura** do wzniesienia świątyni w tej wsi. Fundusze na jej budowę uzyskane zostały ze sprzedaży gruntów należących od wieku XIII do przedlokacyjnego jeszcze kościoła pw. św. Wojciecha, a od roku 1448 przypadających kolegiacie nowosądeckiej jako jej uposażenie. (Majątek ziemski parafii św. Małgorzaty wynosił po roku 1918 około 80 ha gruntów położonych na terenie miasta i jego peryferii, z tego 10 ha przy ul. Lwowskiej.) Ziemię położoną w dzielnicy miasta “Grodzkie” podzielono po 1930 r. na 5-cio arowe działki, sprzedając je pod budowę domów. Parcel tych nie mogli kupować innowiercy.

Projekt kościoła w Paszynie wykonał inż. architekt **Zenon Remi** — absolwent Politechniki we Lwowie Wydziału Architektury — sądeczanin. Budowany od 1936 r. kościół oddany został Paszynowi w 1938 r.

Inicjator budowy kościoła w Paszynie ks. infułat Roman Mazur ur. w Tuchowie w 1879 r. przyjął święcenia kapłańskie w roku 1904. Parafię nowosądecką objął 7 czerwca 1926 r., wcześniej będąc proboszczem w Trzetrzewinie, w której wznosił kościół i wyposażył go. Postępował według często powtarzanej maksymy: *“W rzeczach koniecznych jedność, w wątpliwych wolność, a we wszystkim miłość”*. Za jego staraniem dokonana została gruntowna konserwacja obrazu Przemienienia Pańskiego z kościoła św. Małgorzaty w 1930 r. Po okresie wielkiego kryzysu w latach 30. naszego wieku opanowała także Nowy Sącz plaga żebractwa. Magistrat miasta, chcąc choćby częściowo położyć kres tej żebrani, wyznaczył sobotę jako jeden dzień, w którym wolno było “chodzić po proszonym”. Równocześnie ks. infułat Mazur zapowiedział, iż sam będzie rozdawał jałmużnę w każdą sobotę. Żebracy utrzymywali porządek przy odbieraniu pomocy i jeżeli się zdarzyło, że któryś z nich po raz drugi stawał po jałmużnę, wymierzali mu sprawiedliwość sękatą “dziadowską” laską.

Ks. infułat Roman Mazur zmarł w 1948 r. Spoczywa na cmentarzu komunalnym w Nowym Sączu w alei zasłużonych obywateli miasta.

**Opracowanie na podstawie:**

1. Tarnowskie Studia Teologiczne — Tom IX — 1983.
2. Żyoty Świętych Pańskich — Warmińskie Wyd. Diecezjalne — 1989.
3. Urszula Janicka-Krzywda — “Atrybut — Symbol — Patron” — Pallottinum — Poznań 1993.
4. Relacje Wł. Styczyńskiego — teścia — o ks. infułacie R. Mazurze przeze mnie zanotowane.

Józef Szymon Wroński

---

## ARCHITEKTURA LIMANOWSKICH CMENTARZY Z I WOJNY ŚWIATOWEJ

*“Zdejm sandały z nóg,  
gdyż miejsce, na którym stoisz,  
jest ziemią świętą”  
(Księga Wyjścia, 3, 5)*

### I Wstęp

*“Żyjemy w trwodze, w oczekiwaniu nowych wydarzeń. (...) Dolatuje nas daleki huk armat, słyhać go doskonale z Galicowej Grapy nad Poroninem. Gdzieś tam, coraz bliżej od nas, toczy się bitwa (pod Limanową) ... .”* Tak zanotowała swoje wrażenia **Maria Kasprowiczowa** z 27 listopada 1914 roku w swoim *Dzienniku* (Warszawa 1968, s. 159). Echo tych wrażeń znajdujemy w wierszu jej męża, **Jana Kasprowicza**:

*“Z daleka dochodzi ku mnie  
Huk armat — słucham go słuchem  
Na krwawą wieść wyteżonym,  
W zwałpieniu tonący głuchem.”*

**Józef Piłsudski**, w swoich wspomnieniach, tak pisze: *“Wielka, historyczna bitwa pod Limanową zaczyna się dla świata coś koło 8 grudnia, dla mnie i dla mego oddziału rozpoczyna się daleko wcześniej, mianowicie od 20 listopada. (...) Dla nas zaś, powtarzam, bitwa pod Limanową rozpoczęła się wtedy, gdy teren przyszłych wielkich bojów był prawie pustym i gdy w grę z jednej i z drugiej strony wchodziła prawie sama kawaleria. Jedyną piechotą przez dłuższy czas były w tym*



miejscu moje trzy, bardzo zresztą liczebnie słabe bataliony. (...) Nasz bój pod Marcinkowicami — czytamy dalej — z posuwającym się na wschód korpusem rosyjskim był właściwie wstępem do ostatecznych bojów pod Limanową. Po raz pierwszy wtedy na to pole bitwy wystąpiły do boju wielkie masy wojska.” Fragment ten, pochodzący z książki Piłsudskiego: *Moje pierwsze boje* (Warszawa 1994, s. 150–151), mówi więc wyraźnie o krwawych przygotowaniach do tej bitwy, i udziale w nich Legionów Piłsudskiego. Wódz nazywa je “tańcem koło Limanowej”, który był “wstępem” — jak to sam określił — do ostatecznych bojów pod Limanową”. Domaga się więc Piłsudski od historii, by pamiętała o jego udziale we wstępnych bojach pod Limanową i żałuje, że nie mógł wziąć udziału w bezpośredniej bitwie na wzgórzu Jabłonieckim, która miała ogromne znaczenie strategiczne dla losów I wojny światowej, a także moralne dla żołnierzy. “Było to pierwsze od trzech miesięcy istotne zwycięstwo Austriaków — jak zanotował historyk **Józef Dąbrowski** — tym dla nich cenniejsze, że Rosjanie dysponowali w bitwie limanowskiej widoczną przewagą 110–120 tys. bagnietów przeciw 90 tys. I dodawał: “Doniosłość jej wystąpiła niezwłocznie na całym froncie. Odwrót armii Radki Dimitrjewa za Dunajec pozbawił ostatecznie oparcia walczącą na północ od Krakowa 9. armię rosyjską.” (*Wielka wojna 1915–1918. Część I*, s. 264).

Tu moja dygresja. Niestety, “Bitwa pod Limanową” nie została jak dotąd — należycie wyeksponowana w polskiej literaturze przedmiotu, i aż się prosi, by jakiś młody historyk — może z Limanowej — zajął się tym zagadnieniem w pracy naukowej. Nieco więcej miejsca poświęciła temu wydarzeniu literatura niemieckojęzyczna. Wiemy, iż takie prace są w przygotowaniu, a po części zostały już opublikowane (Jan Biedroń (Tomasz Biedroń), *Bitwa pod Jabłońcem*, “*Gazeta Limanowska*”, nr 16/128 z listopada 1994, s. 6; Maria Kowalska, *Boje pod Limanową*, “*Almanach Sądecki*”, nr 3(8) 1994, s. 42–51; też, *Walki na Limanowszczyźnie w 1914 r.*, “*Mater Dolorosa*”, nr 4(39) 1994, s. 6–12).

## II Wprowadzenie

Jak pamiętamy, w bitwie pod Limanową, wojska austro-węgierskie zahamowały ofensywę rosyjską w kierunku Krakowa i Śląska. W niedługim czasie, po zwycięskiej bitwie pod Gorlicami, utworzono w Krakowie Oddział Grobów Wojennych (Kriegsgräberabteilung) przy Komendzie Wojskowej. Niemal natychmiast po jego utworzeniu i podziale na mniejsze okręgi przystąpiono do “oczyszczenia” terenów bitew, ekshumacji zwłok i zakładania cmentarzy.

Przy ich zakładaniu istniały pewne ogólne założenia, których należało przestrzegać. Dotyczyły one:

1. lokalizacji (chodziło o odpowiednie miejsce, w miarę możliwości oszczędne, tak ze względu na parcelę, jak i jej koszt zabudowy);

2. monumentalności założenia, wyrażonej najprostszyimi środkami;
3. planu założenia cmentarzy, który miał być dopasowany, tak pod względem urbanistycznym, jak i architektonicznym, do "zastanej architektury", oraz krajobrazu. Było to wyzwanie trudne, bowiem, jak zanotowano: *"Wspaniały krajobraz w Oddziale 10. trzeba określić jako jeden z najwspanialszych terenów w Galicji Zachodniej. Wszystkie uroki krajobrazowe są tu w nadmiarze. Można go porównać jedynie z niektórymi rejonami alpejskimi w Austrii. Wędrując po tych górskich szczytach od Limanowej poprzez Nowy Sącz aż po Gorlice, towarzyszy człowiekowi głębokie przeżycie, gdy spojrzy w doliny przepelnione błogosławioną miłością Stwórcy, który piękności im nie poskąpił"*. (**Rudolf Broch, Hans Hauptmann, Die Westgalizischen Heldengräber aus den Jahren des Weltkrieges 1914–1915**, Wien 1918, s. 377). Zalecano dalej, by cmentarze przedstawiały się jako 4 ciche, zalesione parki, z wykorzystaniem starych, cienistych drzew, tak, by przebywając pośród tej wiecznie trwałej, zielonej przyrody, człowiek skłonny był raczej do kontemplacji i zadumy, w żadnym zaś przypadku do rozmowy, jeśli już, to do szepców z tam przebywającymi ... . Sugerowano również, by istniejące kapliczki, czy też figury przydrożne, czasem nawet już zaniebane, stawały się miejscami, przy których mogliby spocząć polegli. Z całą wyrazistością podkreślano natomiast, iż w Gorlicach, Limanowej, Tarnowie, a także wielu innych miejscach, rozsianych po rozległym terenie walk w Galicji Zachodniej, powstaną monumentalne założenia.

Przystąpiono zatem również do budowy cmentarza na wzgórzu Jabłonieckim, które było punktem oporu nie tylko miasta Limanowej, ale także terenów na północny zachód od niego w marszu na Kraków i Śląsk. Upamiętnienie walk o wzgórze Jabłonieckie stało się jednym z pierwszych i zarazem najważniejszych zadań, jakie podjął oddział Grobów Wojennych. Władzy cesarskiej chodziło tutaj bowiem również o wyeksponowanie tego jedynego od trzech miesięcy zwycięstwa armii austro-węgierskiej. Zaangażowano zatem do budowy cmentarza w Okręgu X — Limanowskim jednego z najlepszych i najwszechstronniejszych architektów, kapitana inż. **Gustava Ludwiga**. Pochodził on z Brna na Morawach (ur. 1876 r.), kształcił się w Austrii i Stanach Zjednoczonych, a zamieszkiwał w Monachium. Przystępując do tak odpowiedzialnego zadania Ludwig sporządził wiele projektów i szkiców, poszukując najlepszego rozwiązania zgodnego z wymogami i uwarunkowaniami (danej) miejscowości. W przypadku cmentarza Jabłonieckiego, warunkiem było związanie nekropolii z miastem, które *"zaczęto kreować na tak potrzebny Monarchii symbol bohaterstwa i nieustępliwości, prowadzącej do zwycięstwa"* (**Krzysztof Garduła, Leszek Ogórek, Śladami I wojny światowej między Rabą a Dunajcem**, Kraków 1988, s. 100). Ów cmentarz Jabłoniecki, wraz z cmentarzem parafialnym w Limanowej miał tworzyć jedną wielką pomnikową całość, której architektonicznym

łącznikiem i zarazem dominantą miał być kościół limanowski, będący wówczas w budowie. Budowa kościoła została — jak pamiętamy — w wyniku wybuchu wojny przerwana. Gdy w roku 1916 ks. **Kazimierz Łazarski** pojawił się na rozprawie w Sądzie Administracyjnym w Wiedniu, powiedział wtedy; *“Pod Limanową stoczono bój, w którym wszechmogący Bóg błogosławił mieczom mężnych oddziałów. To stamtąd rozpoczął się odwrót (...) wroga od granic naszego państwa. Wszechmogącemu Bogu należy się zatem pomnik za uzyskane zwycięstwo. Najlepszym i najwspanialszym pomnikiem — sądzę — jest budowa mojego kościoła”* (*Kronika Parafialna — Archiwum Parafialne w Limanowej*, s. 47). Władze austro-węgierskie przyjęły to oświadczenie ks. Łazarskiego podobno z uznaniem, uważając kościół wraz z budującymi się cmentarzami “za pomnik chwały i zwycięstwa”, przydzielając do budowy świątyni część jeńców wojennych. Reszta (tzn. znacznie większa część jeńców) pracowała przy budowie cmentarzy. Jeńcy zatrudnieni byli zgodnie ze swymi umiejętnościami: roboty kamieniarskie wykonywali Włosi, a ciesielskie Rosjanie.

## **II 1. Baza materiałowa**

Materiały pozyskiwane były w większości na miejscu.

Kamień — piaskowiec magurski pochodził z kamieniołomu, położonego pod Łusą Górą, a twardszy z kamieniołomu łososińskiego.

Drewno zdobywane było z okolicznych miejscowości i po części przecierane w tartaku (nie istniejącym już), znajdującym się w pobliżu miejsca, gdzie dziś stoi Szpital Miejski.

Cegłę, w ilości 2 tys., ofiarowali “bracia Marsowie” (a właściwie Józef i syn Zygmunt), z własnej cegielni (też już nie istniejącej), pobudowanej przy dzisiejszej ulicy Ceglarskiej (nad torami kolejowymi).

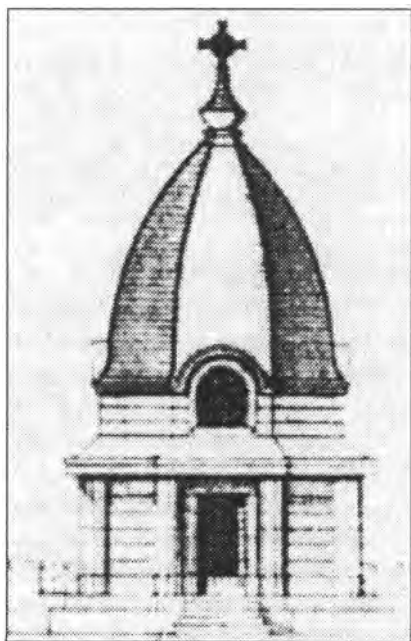
Dachówkę sprowadzono prawdopodobnie spod Wiednia, jak również kolorowe szkło (katedralne). Resztę potrzebnych materiałów dowożono z magazynów w Tarnowie.

Natomiast teren pod cmentarze “pozyskano” przez wywłaszczenie lub darowizny, jak w przypadku Jabłońca czy cmentarza parafialnego w Limanowej, gdzie parcelę przekazała parafia rzymsko-katolicka.

## **III Architektura cmentarzy**

Najważniejszym cmentarzem tak pod względem “militarnym”, jak i historycznym w X Okręgu jest cmentarz na wzgórzu Jabłonieckim. Architektowi chodziło o stworzenie dzieła, które by godnie oddawało ducha wielkich wydarzeń tamtych dni, a zarazem stało się wyrazem dziękczynienia wszystkim tam poległym bohaterom, wobec których jesteśmy — jak zanotowano — dłużnikami (R. Broch, H. Hauptmann, o.c.). Miało to być zatem memorandum, podkreślające miejsce chwały oręża austro-węgierskiego. W związku z tym był nawet nakaz, by nie szczędzić środków, sił i czasu, aby mogło powstać dzieło na wskroś monumentalne.

Wyznaczony teren pod cmentarz znajdował się na stokach wzgórza, po obu jego stronach. Istniały powody przemawiające za tym, by cmentarza żołnierzy austro-węgierskich nie przenosić na przeciwległy stok, opadający w stronę miasta. Tłumaczono to bowiem tym, że od południa cmentarz będzie poświęcony żołnierzom austro-węgierskim, a od wschodu rosyjskim. U podstaw tego zamysłu leżało przekonanie: NIECH I POLEGLI BĘDĄ BLIŻEJ SWOJEJ OJCZYZNY. Z drugiej jednak strony chodziło również i o to, by ów kompleks wkomponować w panoramę miasta, by w ten sposób nazwę LIMANOWA uwiecznić na zawsze. Aby owe warunki mogły być spełnione, postąpiono w sposób następujący: usypano potężną skarpe, wzmocnioną cokołem z kamienia łamanego, która podtrzymywała rozległy taras widokowo-spacerowy (o długości 128 m) z kamiennym, widocznym z dala obeliskiem, zwieńczonym krzyżem, zbliżonym do maltańskiego. Z owego tarasu roztaczał się (dziś zasłaniają go drzewa) wspaniały widok na Limanową, a ów obelisk łączył się, pod względem urbanistyczno— architektonicznym, z wieżą limanowskiej świątyni. Obelisk stoi pośrodku wspólnej mogiły żołnierzy rosyjskich, tworzącej kolisty krąg, który od tyłu półkołem otacza gęstwina drzew i krzewów tak powstałego stoku, po którym ku biegnącej grzbietem wzgórza alei prowadzi dwoje



**Projekt kaplicy na Jabłońcu z widokiem od frontu. Rys. Gustav Ludwig**

schodów. Jedne ze schodów usytuowane są tak, że wychodzą wprost ku wyjściu — po drugiej stronie alei — na cmentarz, gdzie spoczywają żołnierze austro-węgierscy.

Architekt położył więc główny nacisk na podkreślenie wejścia na cmentarz oraz na ukształtowanie kaplicy, nakrytej wysoką kopułą, co czyni zeń kaplicę — wieżę, której wierzchołek zakończony krzyżem na kuli górował (kiedyś, gdy powstała) nad wierzchołkami drzew i widoczny był z daleka, z rozpościerającą się w dole Limanowej. Kaplica, jako główny akcent założenia sepulkralno-memorialnego, położona jest pomiędzy bramkami wejściowymi, pośród muru cmentarnego (wybrzuszając się z niego), stojąc połową po stronie cmentarza żołnierzy austro-węgierskich, a drugą połową wybiegając poza obręb ogrodzenia i wcinając się w aleję. Zbudowana z kamienia cioso-

wego, na planie ośmioboku, o narożach zaakcentowanych kolumnkami, nakryta jest kopułą (o wyciągniętej sylwetce), o dachu łamanym, pokrytym czerwoną dachówką, w formie karpiej łuski.



***Cmentarz wojenny na Jabłońcu z widokiem na kaplicę po zakończeniu prac ok. 1918 r.  
Fot. Gustav Ludwig***

Osiem kolumniek, występujących na załamaniach muru, podkreśla ośmiobok rzutu i podtrzymuje mocno wysunięty gzymsowy okap, nad którym przebiega gładki pas muru, ponad którym niczym nie krępowana biegnie w górę smukła kopuła kaplicy — wieży. Taka kompozycja, z odstawką, dała możliwość usytuowania — w powstałych polach nad okapem — okien (na krzyż posadowionych), wcinających się półkolistym zamknięciem w połać dachu. Okna, wypełnione kiedyś kolorowymi szybami, dawały ciekawe efekty świetlne wewnątrz kaplicy, nastrojające do zadumy. Wnętrze rozcłonkowane zostało kaneluowanymi "lizenami", usytuowanymi w miejscach, gdzie na zewnątrz znajdują się kolumniki. Owe "lizeny" dźwigają belkowanie, na którym spoczywa kopuła.

Forma tej neorenesansowej kaplicy jest niezwykle interesująca, bowiem na planie ośmioboku zakładano zazwyczaj baptysteria, czyli kaplice chrzcielne, przypominające, iż Chrystus w 8 dniu po narodzeniu został obrzezany (według prawa Mojżeszowego). Owo założenie może oznaczać również, iż armia austro-węgierska przeszła pod Limanową prawdziwy chrzest bojowy (jest to tylko hipoteza), a ów bój rozpoczął się właściwie 8 grudnia, w dniu święta Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

W diariuszu wydarzeń z tamtych dni zapisano, iż właśnie 8 grudnia był

najbardziej krytycznym, a *“artyleria rosyjska ostrzeliwała całą okolicę m.in. zapalając zbiorniki rafinerii w Sowlinach”* (por. K. Garduła, L. Ogórek, *Śladami I wojny światowej ...*, o.c., s.25). To wówczas miała się ukazać Matka Boska nad limanowskim kościołem i ochraniać go swoim płaszczem.

Z pewnością te wszystkie imponderabilia Gustav Ludwig znał i brał pod uwagę, jak każdy szanujący się architekt, ale jedno nie ulega wątpliwości, iż wybierając taki kształt kaplicy nawiązał on do północno-włoskiego typu architektury kaplicowej. Ponadto raz obranemu kształtowi pozostał wierny, gdyż obelisk na tarasie ma kształt 8-boku.

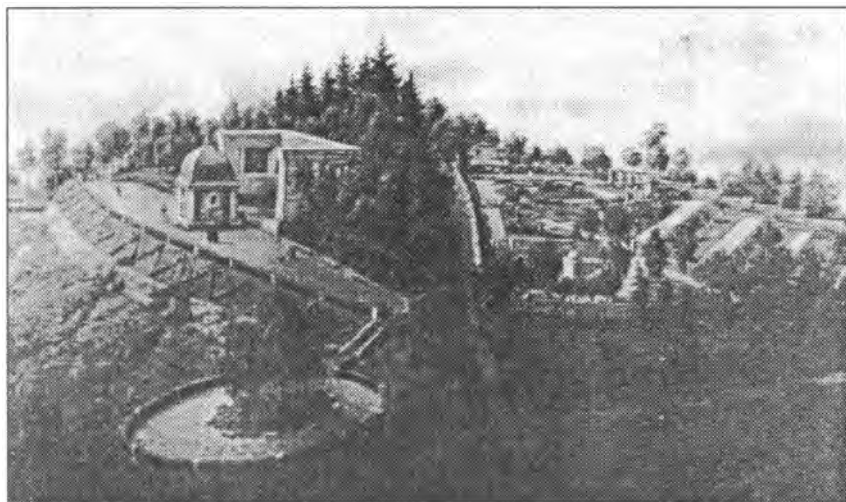
Wewnątrz kaplicy pochowany był niegdyś pułkownik **Othmar Muhr**. Jest to zatem kaplica — mauzoleum. Natomiast na miejscu, gdzie Othmar Muhr padł bohaterską śmiercią stoi pomnik w formie graniastostupa, o podstawie trójkąta ze ściętymi kątami, na dwustopniowym postumencie, zwieńczony kulą, by architektonicznie łączyć się przynajmniej po części z kaplicą. Mimo tradycyjnych, geometrycznych form tego pomnika, swym kolistym zwieńczeniem przypomina z kolei francuską architekturę rewolucyjną, gdzie np. E. L. Boullée zaprojektował mauzoleum w formie kuli dla Isaaca Newtona.

Cmentarz na Jabłońcu, to kompozycja rozległa, rozdzielona aleją, prowadzącą grzbietem wzgórza. Od strony Starej Wsi cmentarz ma kształt nieregularnego wieloboku zbliżonego do trapezu. Ogradzony jest masywnym murem kamiennym, nakrytym betonowym okapem, który w rytmie staccato uskakuje w regularnych odstępach w dół, zgodnie z opadającym terenem. Stosownie do układu terenu kwatery grobów opadają więc tarasowo po południowym zboczu wzgórza. Cmentarz, pełen zieleni, jest rodzajem parku, gdzie pomiędzy kwatery grobowe prowadzą wijące się ścieżki — alejki, nadające założeniu uroczysty charakter. Dzięki suto odsadzonym drzewom i w lecie kwitnącym kwiatom i krzewom jest niewątpliwie parkiem zadumy nad historią tamtych grudniowych dni.

Poza obrębem muru cmentarnego znajduje się jeszcze jeden niski obelisk, na miejscu, gdzie zginął graf **Leonard von Thun und Hohenstein** — rotmistrz 9. pułku huzarów im. grafa Nadosdy. Rodzina poległego, zabierając zwłoki, ufundowała na tym miejscu piękny pomnik według projektu tego samego Gustava Ludwiga. Na obelisku umieszczona jest inskrypcja oraz plakietka z herbem rodowym Leonarda von Thun.

Założenie pomnikowe na Jabłońcu jest jednym z najlepszych spośród kompozycji sepulkralno-memorialnych Gustava Ludwiga — unikalne, jeśli chodzi o okręg X, a być może konkurencyjne do założenia **Dušana Jurkoviča** pod Gorlicami. Na budowę cmentarza na Jabłońcu nie oszczędzono środków, ani materiałów. Nie został on jednak zbudowany według pierwotnego zamysłu. Pierwotny plan był następujący:

Na tarasie, do którego z kolistych kręgów grobowych po obu stronach

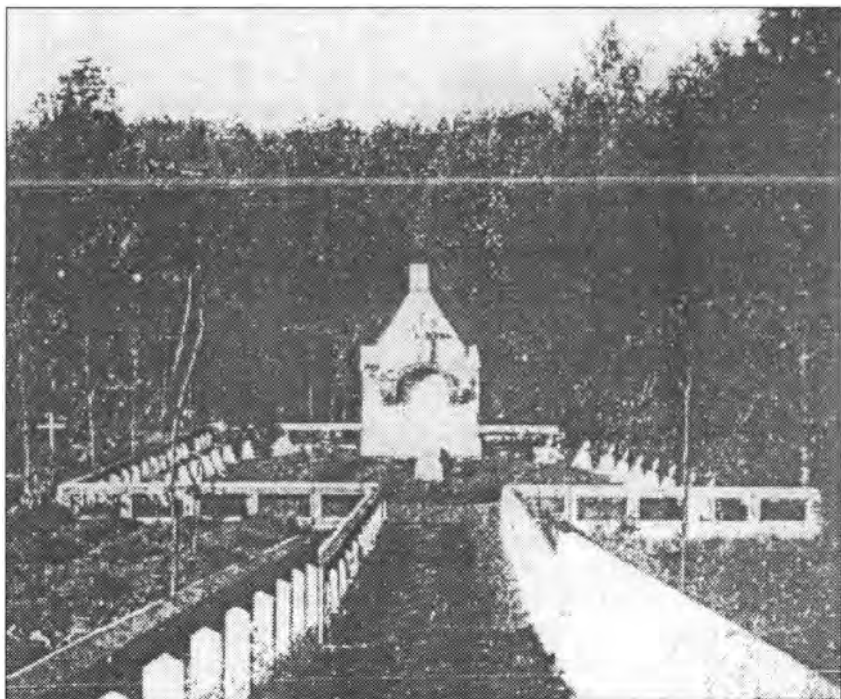


**Pierwotny plan cmentarza wojennego na Jabłońcu. Fot. makiety Gustava Ludwiga**

prowadziły schody, miała się znajdować kaplica, założona na rzucie kwadratu, a za nią “święty” dziedziniec, otoczony z trzech stron murami. Z tarasu tak powstałej “gloriety” miał się roztaczać jeden z najpiękniejszych widoków na Limanową, niczym nie zasłonięty, gdyż drzewa porastałyby jedynie wzgórze za tarasem. W drugiej części cmentarza, za aleją zaprojektował Ludwig kolumnadę, na rzucie półokręgu, zza której miał się rozciągać widok na tarasowy układ kwater grobowych. Jednak ten plan nie został zrealizowany, a kaplica — mauzoleum o zmienionych kształtach znalazła się po stronie zwycięzcy.

Jakkolwiek nie szczędzono środków na cmentarz Jabłoniecki, to zabrakło ich na budowę kwatery wojskowej w całości na starym cmentarzu parafialnym w Limanowej, przy ulicy Szwedzkiej. Z projektowanego założenia zrealizowana została jedynie część. Według pierwotnego zamysłu miało to być założenie o reprezentacyjnym charakterze. Świadczą o tym liczne sporządzone projekty wykorzystane przy budowie innych cmentarzy (np. w Kasinie Wielkiej czy Starym Sączu — por. Garduła, Ogórek, *Śladami I wojny światowej ...*, o.c., s.87, 130). Planowana tam była również m.in. kaplica — mauzoleum (o wysokości 15 m), jako pendant do kaplicy jabłonieckiej, a obie miały być jakby odpowiednikami kaplicy przy kościele limanowskim.

Z zamierzonego planu nic nie wyszło, a zrealizowana została jedynie ściana pomnikowa vis-à-vis wejścia, zamykająca krótsze ramię kwatery wojskowej,



***Kwatery wojenna na starym cmentarzu parafialnym w Limanowej, zaraz po ukończeniu prac. Fot. Gustav Ludwig***

zwieńczona trójkątnym szczytem (w którym mieścić się miała płaskorzeźba). Wybudowana z kamienia ciosowego, mieści wnękę, która do złudzenia przypomina wnękę ze szczytu limanowskiej bazyliki (ale jak się okazało jest to sprawa wtórna, jak również obraz w niej się znajdujący). Ową wnękę nakrywa oryginalny drewniany daszek półkolisty, z trzema krzyżami, służącymi do zawieszania wieńców. Mamy tu zatem kombinację: kamiennego muru z drewnianym detalem, co zbliża tę architekturę do dzieł wybitnego "słowackiego" architekta, Dušana Jurkoviča.

Ale dlaczego architekt zdecydował się na ścianę pomnikową? Otóż dlatego, iż miejsce przeznaczone pod cmentarz wojskowy znajdowało się po zewnętrznej stronie cmentarza parafialnego, a więc z boku, a stamtąd widok kierował się wprost na biedną chatupę chłopską. Aby ją zasłonić, Ludwig zaprojektował jako tło zasadzenie drzew iglastych, a przed nimi wystawienie wspomnianej ściany pomnikowej. W tym projekcie chodziło również i o to, by połączyć w jedną całość



właściwym cmentarz wojenny z położonymi na nim, lecz nieco bliżej u wejścia grobami masowymi. To właśnie skłoniło architekta do takiego rozwiązania, by “wejście”, czyli drogę prowadzącą do kwatery cmentarza wojennego ulokować wzdłuż obu grobów masowych. Od bramy biegną zatem po obu stronach niskie betonowe balustrady, ujmujące w formie lekko zaokrąglonej dwie masowe mogiły, rozszerzając się w miejscu pojedynczych mogił, stanowiąc właściwą kwaterę grobów wojennych. W ten sposób stworzona została architektoniczna całość, dzięki której cmentarz zyskał na integralności i wyeksponowana została jego struktura, a część wojennego cmentarza nie zagubiła się w rozległej przestrzeni cmentarnej. Ogromne betonowe krzyże z nałożonymi na nie żeliwnymi krzyżami “ozdabiały” niegdyś masowe mogiły, które obiegał betonowy cokół. Natomiast na pojedynczych mogiłach ustawione zostały małe kamienne nagrobki z wieńczącymi je żeliwnymi krzyżami. Jak podkreślono, betonowa balustrada pomyślana została tylko jako konieczna “zapora”, która z czasem porośnie gęstwią pnącza. Projektując ten cmentarz architekt pomyślał o ciepłej tonacji, jaką z czasem pokryją się mogiły (porastające zielenią i kwiatami itd.). Dopiero wówczas, gdy wszystkie warunki założenia zostaną spełnione, będzie można mówić o szczęśliwym rozwiązaniu tego trudnego zadania w tej najmniej wartościowej części — jak komentowano — rozległego cmentarza (Broch, Hauptmann, o.c., s. 391). Dobrze się stało, iż podczas remontów po II wojnie światowej brzydkie betonowe balustrady zniknęły.

## Zakończenie

Na koniec zadajmy sobie pytanie, czy cele ideowe i architektoniczne przy budowie cmentarzy — pomników w Limanowej zostały zrealizowane? Jeśli chodzi o cele ideowe, to z pewnością tak. Co do celów, nazwijmy je architektoniczno-urbanistycznymi, to niezupełnie — nie zostały zrealizowane pierwotne plany. A ponadto, trudno sobie wyobrazić, by jako całość komponowały ze sobą tak odległe założenia — zresztą, nie było jednego generalnego projektu, wiążącego oba cmentarze poprzez kościół w jedną całość. Poza tym Ludwig w minimalnym jedynie stopniu nawiązał do miejscowej architektury (materiał — kamień oraz niektóre motywy). Niewątpliwie kościół pozostał kłamrą spinającą w sensie ideowym i symbolem losów Polaków walczących we wszystkich armiach I wojny światowej.

Niemniej można mówić o tym, iż Ludwig podjął wyzwanie, by dorównać dziełu **Mączeńskiego**, ale raczej w mniejszym stopniu poprzez nawiązanie, ile raczej poprzez odrębność form, czerpanych z dorobku sztuki południowo-niemieckiej, austriackiej i włoskiej. W ten sposób powstał kompleks “architektoniczno-urbanistyczny” z elementami środkowoeuropejskiego Heimatstilu, który “dołączył” do obiektu najważniejszego w tym zespole — kościoła, który jest w “stylu” swojsko-narodowym (polskim).

## STEFAN ROWECKI NA KURSIE W NOWYM SĄCZU

Każdy naród posiada szereg postaci, cieszących się ogólnym szacunkiem obywateli. Są to zasłużone osoby wybitnych uczonych, wynalazców, działaczy politycznych, gospodarczo-społecznych. W historii Polski są wśród nich postacie królów, wodzów, bohaterów walk toczonych o całość granic i byt Ojczyzny, jak również o odzyskanie utraconej niepodległości.

Jedną z takich osób jest generał **Stefan Rowecki**, legendarny "Grot", były Komendant Główny AK z czasów hitlerowskiej okupacji.



Postać ta zasługuje na dokładne poznanie ze względu na swoje wybitne zasługi, prawość charakteru, no i ... pewne związki życiowe z naszym miastem, Nowym Sączem.

"Nasz" bohater urodził się 25 grudnia 1895 roku w Piotrkowie Trybunalskim w rodzinie o głębokich tradycjach walk niepodległościowych. Należał już do drugiego pokolenia urodzonego po powstaniu 1863–1864, pokolenia, które odważyło się zerwać z panującą wówczas w zaborze rosyjskim uległością i pewną współpracą z rosyjskim zaborcą. Pokolenie to zamierzało w oparciu o szerokie warstwy ludowe przystąpić do walk

o demokratyczną Polskę, a później dokonać w niej zmian feudalnych stosunków polityczno–społecznych.

Stefan Rowecki w czasach swojej szkolnej edukacji należał do tajnego koła „Związku Młodzieży Polskiej — Zetowskiej”, samodoskonaląc się w duchu filareckim. W roku 1906 wstępuje do polskiego gimnazjum Jacobsona, gdzie należy najpierw do „Petu”, a potem do młodzieżowych kół „Zarzewia”. Na przełomie 1910 i 1911 roku inicjuje powstanie w Piotrkowie tajnego skautingu, w którego programie odgrywało doniosłą rolę przygotowanie wojskowe.

W latach 1911–1912 wstępuje do tajnego wojskowego oddziału Polskich Drużyn Strzeleckich (PDS), przyjmując pseudonim „Radecki”. Jesienią 1913 roku jest słuchaczem I Kursu Wyższej Szkoły Technicznej Wawelberga w Warszawie, gdzie należy do „Warszawskiej Kompanii Polskich Drużyn Strzeleckich”. Z ramienia Kompanii uczestniczy w czasie ferii świątecznych 1913/1914 roku w kursie instruktorów PDS w Rabce. Uzyskuje tam stopień podoficera. Po kursie powraca — przez zieloną granicę — do Warszawy. Uczy tam w tajnych szkołach żołnierskich taktyki wojskowej i fortyfikacji. W lipcu 1914 roku podąży

powtórnie przez zieloną granicę na kurs PDS do centralnej szkoły PDS w Nowym Sączu (jedynej na ziemiach polskich). Przedziera się na kurs wraz z **Leonem Strzeleckim** z Ojcowa przez Dolinę Bendkowską do Szyca i dalej do Krakowa.

To przedzieranie się na kurs PDS do Nowego Sącza opisuje Stefan Rowecki w swej relacji: *Na kurs drużyniacki przez zieloną granicę*. Na kurs podążali potajemnie ochotnicy ze wszystkich zaborów Polski, a nawet z Austrii, Belgii i Francji. W kursie uczestniczyła młodzież ze wszystkich pięciu okręgów PDS, najwięcej jednak z zaboru rosyjskiego, z Warszawy, Łodzi, Skierniewic, Częstochowy, Sosnowca, Zamościa. Na kurs przybyli również ochotnicy z Pomorza i Wielkopolski. Z Galicji, ze Lwowa, Drohobycza, Krakowa, Czortkowa, Przemyśla, Tarnowa, Limanowej (1 osoba). Kurs miał trwać od 15 lipca do 15 sierpnia 1914 roku. Po powrocie z niego — po uzyskaniu wyższych stopni wojskowych — uczestnicy kursu z Nowego Sącza mieli szkolić na swoim terenie kadry wojskowe PDS. W ten sposób miała się stale powiększać kadra dowódcza przyszłego wojska polskiego. Od każdego uczestnika kursu pobierano opłatę w wysokości 30 koron od osoby. Ochotnicy po przybyciu na



kurs najpierw do Krakowa — byli tam przemundurowani i wyekwipowani — potem dopiero podążali koleją do Nowego Sącza.

Centralna szkoła PDS w Nowym Sączu powstała w 1913 roku, natomiast Związki Strzeleckie miały taką szkołę już w 1912 roku w Stróży koło Dobrej. Kadre instruktorską w/w kursu stanowiło 8 podchorążych, 7 kadetów, 2 sierżantów, 9 plutonowych i 5 zastępowych. Byli wśród nich sądeczanie: kadet **Cyło** i sierżant **Greffner**. Komendantem kursu był podchorąży **Artur Żymirski**, ps. Michał Zawisza — późniejszy generał LWP. Uczestników kursu podzielono na cztery kompanie liczące w sumie 165 osób. Stefan Rowecki został przydzielony do I kompanii, której dowódcą był kadet **Maksymowicz**, pseudonim Rokita. W osobowym spisie kompanii figuruje pod pozycją 16., pod pseudonimem Radecki, jako podoficer III Okręgu PDS (Warszawa). Trzeba tu zaznaczyć, że używano wówczas w konspiracji tylko pseudonimów, chroniąc częściowo swoje rodziny i własną osobę przed represjami zaborców.

## ROKITA I — 37

Lp.	Pseudonim i imię	Ranga	Okręg	K-tda M-wa	Czy zapłacił takse i ile
1.	Scevola	kadet	IV.	Wiedeń	tak 35K.
2.	Rawicz Mieczysław	podof. kadet	II.	Kraków	" 30K.
3.	Młot Jan	podof.	V.	Leodjum	" 30K.
4.	Żarski Stefan	żołn.	III.	Warszawa	nie —
5.	Radek Mieczysław	"	IV.	Wiedeń	tak 30 K.
6.	Wyrwicz Aleksander	"	III.	Skierniewice	" 5 K.
7.	Sołtyk tadeusz	"	V.	Verviers	" 20 K.
8.	Krowejtis Aleksander	"	V.	Leodjum	" 30 K.
9.	Ustroński Andrzej	"	II.	Kraków	" 30 K.
10.	Wilk Andrzej	podof.	I.	Lwów	" 10 K.
11.	Lidzki Stefan	żołn.	III.	Warszawa	" 15 Rb.
12.	Ajaks Ludwik	"	IV.	Wiedeń	" 30 K.
13.	Góral Józef	podof.	II.	Limanowa	" 30 K.
14.	Adamski Teodor	żołn.	II.	Kraków	" 30 K.
15.	Łamigłowa Bronisław	"	III.	Wołomin	nie —
<b>16.</b>	<b>Radecki Stefan</b>	<b>podof.</b>	<b>III.</b>	<b>Warszawa</b>	<b>" —</b>
17.	Jarema Józef	żołn.	III.	-	-

18.	Nowiński Edward	podof.	III.		
19.	Rola Piotr	żołn.	III.		
20.	Sokołowski Józef		III.		
21.	Plater Zygmunt		III.		
22.	Kownacki Edward		III.	tak	50 K.
23.	Moździński Edward		III.	nie	
24.	Groholski Maciej		III.		
25.	Sokołowski Franc		I.	Stryj	tak 30 K.
26.	Jar		I.	Kańczuga	30 K.
27.	Kirkor Leon		III.	Warszawa	nie
28.	Orężny Stanisław		VI.	Poznań	tak 15 Mk.
29.	Magoski Karol		I.	Lwów	nie
30.	Gozdawa Jan		III.	Warszawa	
31.	Zawisza Ignacy		III.		
32.	Rudzki Jan		III.		
33.	Pławiński Bolesław	podof.	III.	Skierniewice	
34.	Olszewski Andrzej	żołn.	III.	Warszawa	
35.	Kalina Jan		V.	Verviers	tak 30 K.
36.	Kic (urlop, wyjechał)				
37.	Graf		V.		

Razem 37.

(-) Rokita

Kmdt Komp.

### **INSTRUKTORZY KURSU INSTRUKTORSKIEGO W NOWYM SĄCZU W 1914 R.**

*Podchorążowie:* Zawisza, Narbut, Bukacki, Grudziński, Warski, dochodzą: Młot (Horak), Piast, Pogoń.

*Kadeci:* Rokita, Olszyna, Wilczyński (Rybasiewicz), Orlik, Scevola, dochodzą: Wolny (Cyło Walenty), Szary (Borowy Waclaw).

*Podoficerowie kadeci:* Podof. kadet Wirski (Dąbrowiecki), sierżant Złom; plutonowi: Dobrowolski, Wzórski, Nowowiejski (Glutz Izydor), Rawicz (Heiman Kazimierz).

Kurs oparto o specjalnie opracowany program, a celem jego było wyszkolenie oficerów i podoficerów, którzy mieli na swoim terenie szkolić pozostałych członków PDS. W ten sposób miała się zwiększyć przeszkolona kadra dowódcza przyszłego wojska polskiego. Poważną troskę stanowiły na kursie sprawy finansowe, za co



odpowiadała Komenda II Okręgu PDS Kraków. O pomoc odwołano się do sympatyków PDS, uzyskując ją w wysokości 1500 koron zebranych wśród społeczeństwa. Otrzymano również od Koła Miłośników Sztuki Wojskowej w Krakowie zapomogę w wysokości 310 koron. Od każdego uczestnika kursu pobierano wspomnianą opłatę 30 koron. W praktyce jednak kwotę 30 koron uiścili nie wszyscy. W sumie w dniu 28 lipca 1914 roku posiadano 2122 korony i 57 halerzy. Dodajmy, że wśród osób, które nie wniosły wyżej wymienionej kwoty, znajdował się także nasz bohater, Stefan Rowecki.

Niektóre drużyny PDS wypożyczyły na kurs swój ekwipunek, a niektóre dostarczyły prowiantu w naturze. Siedziba kursu mieściła się w użyczonej na ten cel bezpłatnie — szkole im. Adama Mickiewicza. Sienniki i koce wypożyczono od miejscowego wojska. Zajęcia na kursie, tak w szkole oficerskiej, podoficerskiej, jak i żołnierskiej rozpoczynały się pobudką już o godzinie 5.30, a kończyły się wieczorem, apelem o godzinie 21.30. Ćwiczenia w terenie trwały od godziny 14.30 do 18.00. W celu podniesienia poziomu ćwiczeń w terenie, jak również sprawności bojowej, połączono kompanie 1. i 3. tworząc nową 1. kompanię oraz 2. i 4., formując nową 2. Ćwiczone nawet w niedzielę, a w ćwiczeniach dwustronnych brały udział również miejscowe Drużyny Strzeleckie. Podobnie i w zajęciach teoretycznych uczestniczyli członkowie X Polskiej Drużyny Strzeleckiej (sądeckiej). Niestety, z powodu wybuchu wojny, kurs przerwano, a część kadry szkolącej zmobilizowano już w dniu 31 lipca 1914 roku. W tej sytuacji przyspieszono egzaminy, również na stopień oficerski. Zgłosili się nań, na stopień podchorążego, kadeci: Cyło, Maksymowicz, **Górski**, ps. Szary, **Langner**, Wilczyński, ps. Olszyna i paru innych. Podchorąży Stefan Rowecki, ps. Radecki, na ćwiczeniach z taktyki dowodził jedną z wyżej wymienionych kompanii. Podczas tego egzaminu kompania Roweckiego zdobyła jakąś czatę i wieś nad Dunajcem. Piszący o tym kolega Roweckiego nie podał nam nazwy tej wsi. Na omówieniu ćwiczeń Radecki otrzymał pochwałę z ust samego komendanta kursu, Żymirskiego. Wspomina o tym Kazimierz Pluta Czachowski w swoich wspomnieniach o generale Stefanie Roweckim.

Kurs — jak już wzmiankowałem — został przerwany wybuchem I wojny światowej i nagłym rozkazem mobilizacyjnym nakazującym jego uczestnikom stawienie się jak najszybciej w Krakowie. 74 członków kursu dostąpiło nie lada zaszczytu, wchodząc, 3 sierpnia 1914 roku, w skład I Kompanii Kadrowej, przekraczając 6 sierpnia rosyjski kordon graniczny koło miejscowości Michałowice. Stefan Rowecki, z chwilą wybuchu wojny, znalazł się wraz z uczestnikami kursu PDS z Nowego Sącza w związkach kadrowych późniejszego 5. pp I Brygady Legionów. Dowodził plutonem w kompanii kapitana **Narbutta Łuczyńskiego**. Stopień oficera otrzymał już w grudniu 1914. Szczegółowo wspomina o tym Antoni Sikorski w swoim artykule *Od ławy szkolnej po pamiętny wrzesień 1939 roku*. Pisze on, że z wybuchem I wojny światowej wraz ze Stefanem Roweckim znaleźli się w 4. batalionie majora

**Wyrwy Furgalskiego**, w kompanii podporucznika **Wacława Stachewicza**. Udziałem Roweckiego były ciężkie boje pod Krzywopłotami i Łowczówkiem.

W Nowym Sączu gościł po raz drugi w grudniu 1914 roku. W swoich pismach wspomina nasze miasto jako to miejsce, w którym czuł się dobrze, po domowemu. Niewątpliwie do jego kariery wojskowej przyczyniły się również i umiejętności nabyte na kursie PDS w Nowym Sączu. Nadmienić tu wypada, że z kursu PDS w Nowym Sączu wyszło paru znanych późniejszych generałów WP. Razem z generałami Sądeczanami — tu urodzonymi lub dłużej przebywającymi w naszym mieście — tworzą oni poczesny zestaw generałów związanych z Nowym Sączem, jedynie czasowo, ale związanych. Tak oto chwilowo — na prawie dwa tygodnie — koleje życia Stefana Roweckiego splotły się z tokiem życia naszego miasta i jego mieszkańców.

## LISTY, OPINIE, POLEMIKI

---

**Andrzej Wasiak**

### ZASIĘG TERYTORIALNY SĄDECCZYNY

Nazwa geograficzna **Sądecczyzny** obejmuje przeważną część terytorium historycznego powiatu sądeckiego, a więc nie tylko obszar dawnego powiatu nowosądeckiego, ale i skrawki dawnych powiatów limanowskiego, brzeskiego i gorlickiego, które aż po rozbiory związane były administracyjnie z Nowym Sączem, a dziś grawitują do niego pod względem geograficznym, społecznym i kulturalnym. Dotyczy to wschodniej części dawnego powiatu limanowskiego, łącznie z Limanową i południowych skrawków dawnego powiatu brzeskiego (na południe od Czchowa) i zachodnich połaci powiatu gorlickiego (miejscowości po obu stronach rzeki Białej). Granice tak pojętej Sądecczyzny ustalił w 1939 roku **J. Flis**, *Sądecczyzna i jej granice* (w:) *“Rocznik Sądecki”*, t. I, s. 1–20, Nowy Sącz 1939, a po dzień dzisiejszy uwzględniają ją w swoich pracach historycy osadnictwa Sądecczyzny.

**H. Stamirski** uwzględniając granice Sądecczyzny według pracy J. Flisa rozszerzył ją o Gródek, który zawsze przed rozbiorami należał do parafii w Grybowie i starostwa grybowskiego oraz o niektóre miejscowości koło Czchowa; zob. H. Stamirski, *Sądecczyzna w roku 1629* (w:) *“Rocznik Sądecki”*, t. III, s. 87–150, Nowy Sącz 1957.

**K. Dziwik** w pracy: *Struktura i rozmieszczenie feudalnej własności ziemskiej w Sądecczyźnie w XV wieku* (w:) *“Rocznik Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Krakowie”*, rok VII/VIII 1961/1962; Wrocław–Warszawa–Kraków 1963, s. 5–108, rozszerzył granice Sądecczyzny na północno-wschodzie po miasto Bobową i wieś: Stróże, Stróżnę, Siedliska i Sędziszową, a na północy po Kąsną, Jastrzębie, Olszanę i Borowę, która jednak związane były raczej z dawnym powiatem bieckim.



## **JESZCZE O BOJACH POD LIMANOWĄ**

Czytając *“Almanach Sądecki”* nr 3/8 zetknąłem się w nim z artykułem pani Marii Kowalskiej pt.: *Boje pod Limanową*, co do treści którego posiadam pewne zastrzeżenia. Artykuł ten stanowi niejako powtórzenie i rozwinięcie wiadomości o bojach pod Limanową zawartych uprzednio parę lat temu w *“Dunajcu”* w trzech odcinkach, również autorstwa wymienionej pani Marii Kowalskiej. Nie w pełni zgadzam się z podanymi w *“Almanachu ...”* danymi o walkach Legionów Polskich, a szczególnie batalionów 4. i 6.

Na stronie 42 podano błędnie *“Dwa pozostałe bataliony 4. i 6. walczyły pod Nowym Targiem”*. Na stronie 45 czytamy zdanie: *“Piąty batalion zabrał pod swoją komendę generał Nagy, czwarty i szósty wciąż walczyły pod Nowym Targiem”*. Na tejże samej stronie czytamy: *“Legioniści ponieśli dosyć duże straty: ok. 92 zabitych”*. Na stronie 49 czytamy: *“Na jego rozkaz przybyły do Łącka bataliony Legionów walczące pod Nowym Targiem. W dniu 12 grudnia wszystkie bataliony 1. Pułku Legionów pomaszzerowały z Łącka do Nowego Sącza na tygodniowy odpoczynek”*.

Z przykrością stwierdzam, że wyżej wymienione dane zamieszczone przez autorkę są niezgodne z rzeczywistością i zawierają pewne niedomówienia. Odnosnie 5. batalionu zabranego przez gen. Nagy'a pod swoją komendę — należało podać, że nie odpoczywały one, ale w dniach od 5 do 7 grudnia walczyły z Rosjanami pod Bełdnem i Żegociną. Współdziałały tam między innymi z oddziałami wojsk niemieckich. Do Limanowej powróciły 8 grudnia. Poważniejszego sprostowania wymagają wiadomości o “rzekomej” walce Legionów, tj. batalionów 4. i 6. pod Nowym Targiem. Baczного obserwatora śledzącego przebieg linii frontu austriacko-rosyjskiego w listopadzie i grudniu 1914 roku zastanowi fakt — skąd z tyłu frontu, na głębszym zapleczu, powstał nowy front pod Nowym Targiem, gdzie rzekomo walczyły bataliony 4. i 6. Jest to poważny błąd historyczny. Wyżej wymienione bataliony walczyły wówczas pod Krzywopłotami koło Olkusza z drugiej, północnej strony, Krakowa. Toczyły one ciężkie boje od 16 — 19 listopada 1914 roku, ponosząc ciężkie straty. Według innych prac, walki te toczyły się od 17 do 20 listopada. Wspomina o tych walkach w swoim pamiętniku ojciec Kosma Lenczowski, kapelan legionowy. O walce pod Krzywopłotami piszą również Franciszek Demel i Wacław Lipiński w książce *Pułkownik Leopold Lis-Kula*. Są i inne publikacje. Ja podaję tytuły ogólnie dostępne w wielu księgarniach Nowego Sącza i Limanowej. Skąd więc “rzekome” walki pod Nowym Targiem z pominięciem właściwych pod Krzywopłotami.

Tutaj pragnę podać faktyczne dane dotyczące wspomnianych batalionów. Po bitwie pod Krzywopłotami, bataliony 4. i 6. wypoczywały po ciężkich stratach

w Bogucinie pod Olkuszem, a stamtąd 25 listopada podążyły do stacji kolejowej Strzemieszyce i dalej, 26 listopada, do Galicji. Następnie wywagonowano je w Suche i powtórnie załadowano do wagonów, dowożąc do Nowego Targu. Od tej chwili 4. i 6. batalion rozpoczęły prawie dwutygodniowe marsze wzdłuż i wszerz Podhala, zamiast podążać wprost na front pod Limanową. Józef Piłsudski, widząc klęskę Austrii i zajęcie przez Rosjan dużej części Galicji, postanowił oprzeć się z Legionami o Podhale, stworzyć tam ośrodek oporu i podstawę do działań partyzanckich na tyłach prących naprzód wojsk rosyjskich. Przewidywał bowiem dalsze zajęcie Galicji przez Rosjan. Stąd niejako "zadekowanie" batalionów 4. i 6. na Podhalu, gdzie stanowić miały planowany ośrodek oporu Legionów w postaci walk partyzanckich z Rosjanami. Trasa marszu (rzekomo na front) batalionów 4. i 6. wiodła od Nowego Targu do Maniów, Czorsztyna, Krościenka, Szczawnicy i na południowy-zachód przez Łapsze Niżne, Czarną Górę, Poronin (8 XII), Szaflary do Nowego Targu. Po drodze — już na terenie Galicji — poszczególne kompanie i bataliony wypoczywały krótko we wsiach góralskich. Trzeba tu dodać, że część terenu, przez który maszerowano należała do Korony Węgierskiej. Marsz ten odbywał się przy dużym śniegu i mrozie. Dopiero później (wobec wyzwolenia Nowego Sącza 13 grudnia) bataliony 4. i 6. podążyły na front przez Ostrowsko, Łopuszną, Ochotnicę, Łącko, Podegrodzie, Świniarsko do Nowego Sącza (17 XII). W świetle tych sprostowań, wyjaśnia się rola batalionu 5., a szczególnie batalionów 4. i 6. walczących pod Krzywopłotami, jak również ich faktyczny marsz przez Podhale. Co do wysokości około 92 zabitych pod Marcinkowicami i Pisarzową, protestuję, że liczby te dotyczą strat w całej kampanii podhalańskiej (bez Łowcówka), a nie jak podaje autorka na stronie 45 "Almanachu ...".

**Maria Kowalska**

## **W ODPOWIEDZI PANU DANKOWI**

Zarzuty te dotyczą mojego opracowania *Boje pod Limanową*, zamieszczonego w "Almanachu Sądeckim" 1994 nr 3/8. Tytuł wyraźnie informuje, że ograniczyłam się do pisania o działaniach wojennych w 1914 roku w Limanowej i w najbliższych okolicach (były powiat limanowski). Walki na wymienionym terenie trwały od 20 listopada do 11 grudnia 1914 r., a ich finałem była bitwa na Jabłońcu pod Limanową, która toczyła się w dniach 8–11 grudnia, zakończona klęską Rosjan. W bitwach i potyczkach z Rosjanami brały udział Legiony Polskie pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, które wówczas podlegały dowództwu austriackiemu. Ponieważ ograniczyłam się do Limanowej i najbliższych okolic, zaczęłam pisać o walkach Legionów Polskich od 23 listopada 1914 r., kiedy to przybyły do Dobrej koło

Limanowej. O walkach pod Krzywopłotami nic nie pisałam, bo to jest zbyt duża odległość od Limanowej i ktoś inny mógłby mi zarzucić, że nie trzymam się tematu. Do Dobrej przybyły cztery bataliony Legionów: 1., 2., 3. i 5. Dwa pozostałe 4. i 6. przeszły inną trasą od Krzywopłotów do Nowego Targu. Nie mogłam napisać, że do Dobrej przyszedł I pułk Legionów w pełnym składzie, bo to nie byłoby zgodne z prawdą. Wielu ludzi obeznanych z tym tematem mogłoby mnie zapytać, czy ja nie wiem, że bataliony 4. i 6. przebywały w Nowym Targu, kiedy wokół Limanowej toczyły się walki i w tych walkach nie brały udziału. Jeśli pisałabym o walkach Legionów na Podhalu w 1914 r. lub udziale Legionów w I wojnie światowej, wówczas musiałabym pisać o Krzywopłotach i o Nowym Targu.

Tadeusz Kasprzycki w swojej książce pt. *Kartki z dziennika oficera I brygady Warszawa 1934*, wydanej przez Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy pisze pod datą 1 grudnia 1914 r. na s. 189, że 4. i 6. batalion Legionów przebywa w Nowym Targu. Na s. 203 i 205 tej samej książki jest informacja, że w dniu 12 grudnia 1914 r. wysłał Piłsudski z Łącka rozkaz do legionistów w Nowym Targu, aby przybyli do Nowego Sącza i sam Pan pisze w liście, że zgodnie z tym rozkazem przybyli tam 17 grudnia 1914 r. Zatem skoro bataliony 4. i 6. nie walczyły koło Limanowej, to ja się nimi w tym opracowaniu bliżej nie zajmowałam.

Użyte sformułowanie „walczyły pod Nowym Targiem” ma znaczenie ogólne, tak jak np. sformułowanie „walczyły 5 lat na wojnie”, co nie znaczy, że przez pięć lat dzień po dniu były się z wrogiem, lecz, że w tej wojnie brały udział tyle lat.

Jeśli chodzi o 92 legionistów, których Piłsudski stracił w bitwie marcinkowickiej i po odparciu Rosjan w Pisarzowej w dniach 6–7 grudnia 1914 r., to on sam podaje taką liczbę we wspomnieniach *Moje pierwsze boje* (rozd. *Limanowa Marcinkowice*), Łódź 1988 s. 139, 192, Również w *Pismach zbiorowych* T. 4 Józefa Piłsudskiego (Warszawa 1937, wyd. wznowione), pisząc tam o bitwie marcinkowickiej na s. 347 podał, że Rosjan była ogromna ilość i legionieści walczyli z nimi w stosunku 1:5 „*A mimo to straciłem tylko stu ludzi — zatem pięć procent całego oddziału*”.

Ten cytat to jedyna wypowiedź Piłsudskiego o stratach, a samo pojęcie „strata” jest bardzo szerokie. Skoro nie powiedział wyraźnie, że oni poległi, to takie określenie mogło odnosić się do wszystkich legionistów, którzy już nie brali udziału w dalszych walkach, czyli do poległych, rannych, zaginionych i wziętych do niewoli przez Rosjan. Widocznie po bitwie marcinkowickiej ogólna liczba zdolnych do walki legionistów o tyle zmalała. Taką wypowiedź Piłsudskiego o stratach można potraktować też dosłownie, że skoro stracił tylu ludzi, to tylu poległo. W wymienionej książce Tadeusza Kasprzyckiego, w relacji o bitwie marcinkowickiej jest informacja, że poległo tam 10 żołnierzy, ale on wyraźnie pisze o poległych, natomiast Piłsudski wypowiedział się o tych stratach ogólnie. Ja natomiast powtórzyłam tę cyfrę za Piłsudskim, bo uważałam, że on, jako dowodzący bitwą pod Marcinkowicami, podał właściwe dane o stratach. W świetle powyższego przyznaję, że właściwe określenie

powinno być: „stracił około 92 żołnierzy”. Myślę, że odpowiedziałam na wszystkie postawione mi zarzuty.

Pan natomiast pisze w swoim liście o wyzwoleniu w dniu 13 grudnia 1914 r., Nowego Sącza, a przecież w tym dniu bitwy o Nowy Sącz nie było. Rosjanie po klęsce na Jabłońcu sami wycofali się za Dunajec, nocą z 12 na 13 grudnia 1914 r. Po klęsce na Jabłońcu byli osłabieni i nie zachciewało im się zaraz następnej bitwy, woleli wycofać się za Dunajec. W *Moich pierwszych bojach* Piłsudski pisze, że front rosyjski przesunął się wówczas w Galicji i Królestwie Kongresowym na linię Dunajca i Nidy. Piłsudski nacierał na cofających się z Jabłońca Rosjan w Kamienicy i Łącku, a potem wjechał do Nowego Sącza bez żadnych walk 13 grudnia 1914, witany serdecznie przez ludność. Zadaniem legionistów było tylko oczyścić to miasto z pojedynczych Rosjan, którzy jeszcze pozostali w Nowym Sączu. Przez tydzień tam odpoczywali, a potem wszystkie bataliony wyruszyły pod Tarnów w dniu 20 grudnia 1914 roku.

Z poważaniem Maria Kowalska

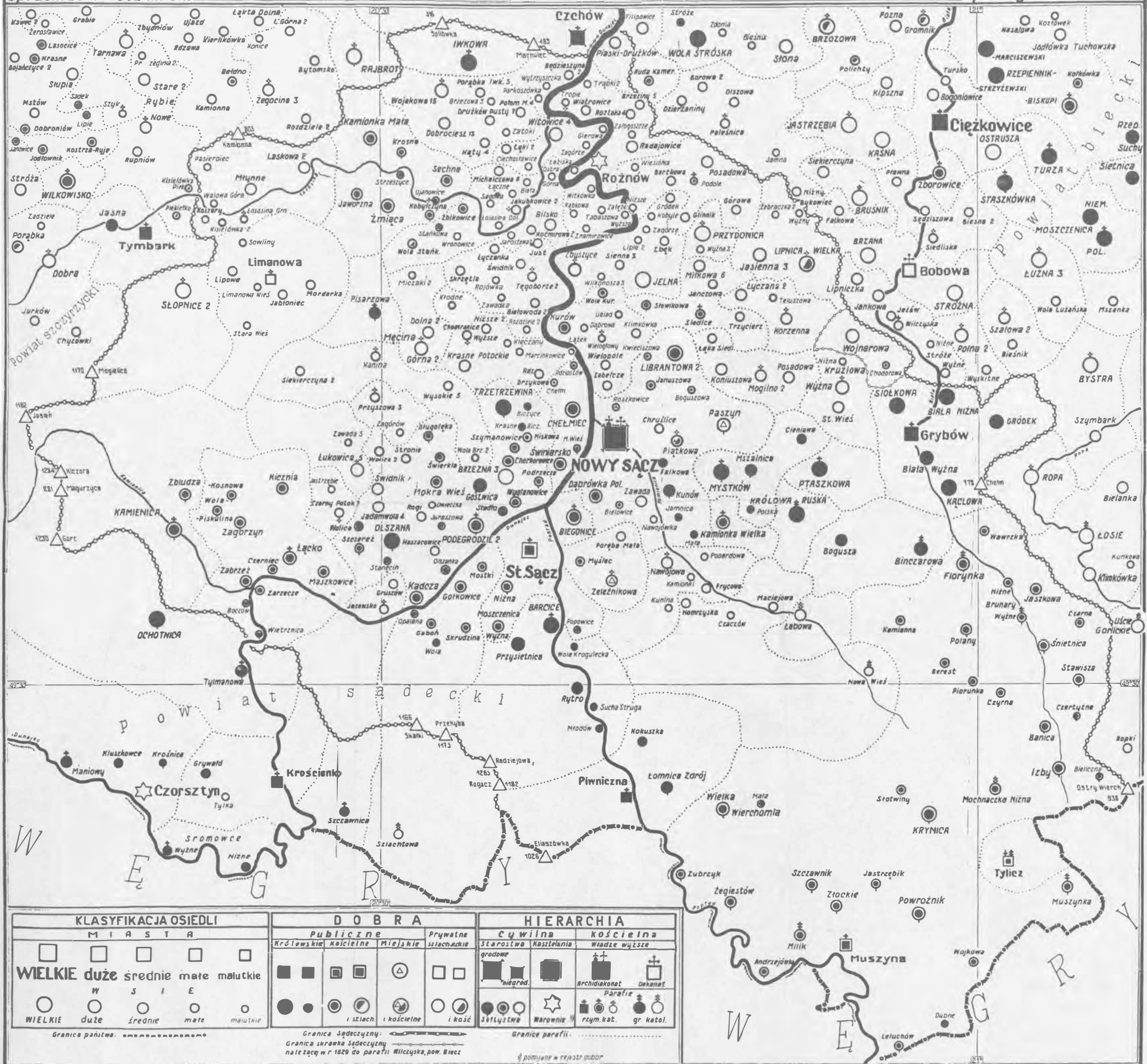


# Mapa historyczna Sądeczyzny w r. 1629

Oprac. nauk. H. Stamiński

(na kanwie map 1:100 000)

Oprac. graf. A. Barbacki



KLASYFIKACJA OSIEDLI				
MIASTA				
□	□	□	□	□
W	S	I	E	
○	○	○	○	○
W	duże	średnie	małe	malutkie

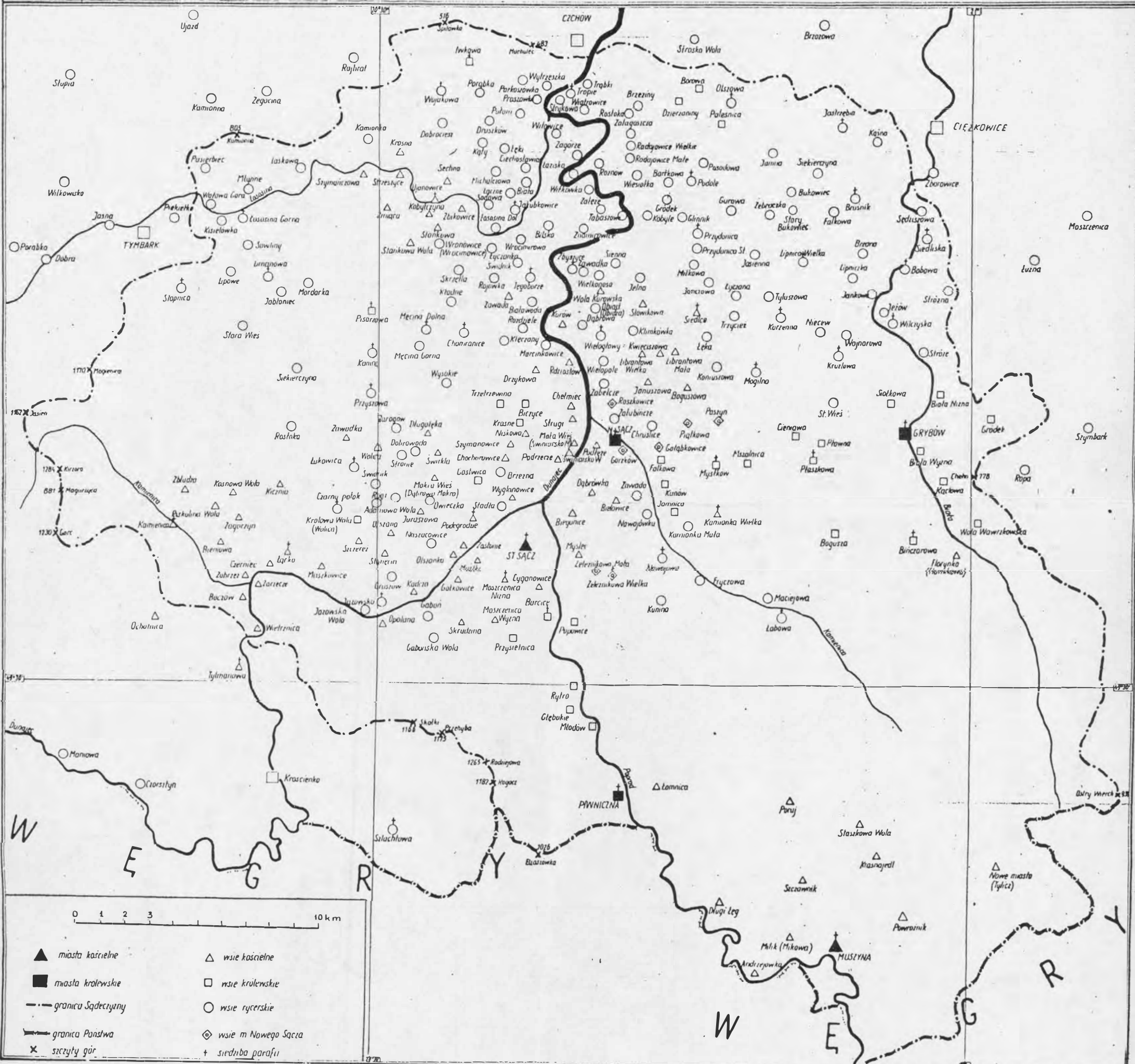
DOBRA			
Publiczne		Prywatne	
Królewskie	kościelne	Miejskie	szlacheckie
■	■	⊙	□
●	●	○	○
○	○	○	○
○	○	○	○
○	○	○	○
○	○	○	○

HIERARCHIA			
Cywilna		kościelna	
Starostwo	Kasztelan	Władze wyższe	
■	■	■	■
■	■	■	■
■	■	■	■
■	■	■	■
■	■	■	■
■	■	■	■

Granica Sądeczyzny: ———  
 Granica skrawka Sądeczyzny należącej w r. 1629 do parafii Wilczyńska, pow. Biecki: ———  
 Granice parafii: - - - - -  
 (pomiary w rejestrze pobor.)



# SADECZYNA W DRUGIEJ POŁOWIE XV WIEKU



## SPIS TREŚCI

<b>Maria Brylak-Zaluska</b> <b>ŚWIĘTA WIELKANOCNE NA SĄDECCZYŹNIE</b>	<b>3</b>
<b>Bogusława Święs</b> <b>ZARYS DZIEJÓW ZAKŁADU PIWOWARSKIEGO BROWAR</b> <b>“GRYBÓW” W LATACH 1830–1945</b>	<b>18</b>
<b>Leszek Migrała</b> <b>GRYBOWSKIE WARZENIE PIWA — ROZMOWA</b> <b>Z ANNA GRUCA</b>	<b>23</b>
<b>Wit Kmietowicz</b> <b>DAWNE PASTERSKIE ZWYCZAJE OKOLIC MUSZYNY</b>	<b>31</b>
<b>Marek Basiaga</b> <b>O BASI, CO SZWEDA CHCIAŁA</b>	<b>39</b>
<b>Irena Styczyńska</b> <b>ZWIĄZKI WIZERUNKU ŚW. WALENTEGO Z SĄDECCZYŹNĄ</b>	<b>57</b>
<b>Józef Szymon Wroński</b> <b>ARCHITEKTURA LIMANOWSKICH CMENTARZY</b> <b>Z I WOJNY ŚWIATOWEJ</b>	<b>62</b>
<b>Mieczysław Danek</b> <b>STEFAN ROWECKI NA KURSIE</b> <b>W NOWYM SĄCZU</b>	<b>72</b>
<b>LISTY, OPINIE, POLEMIKI</b>	<b>78</b>



## **BANK WSPÓŁPRACY REGIONALNEJ**

rozpoczął swoją działalność 16.01.1992 r.  
w Krakowie jako Spółka Akcyjna.

*Wśród akcjonariuszy założycieli znajdują się między innymi:  
Rafinerie Nafty, Centralna Dyrekcja oraz Okręgowe Dyrekcje CPN,  
Agencja Rynku Rolnego, Instytut Zootechniki w Krakowie, Powszechny  
Zakład Ubezpieczeń, "Presspublika" wydawca "Rzeczpospolitej",  
Dyrekcja Eksploatacji Cystern w Warszawie, gmina Tychy i gmina  
Kraków, profesorowie i pracownicy nauki z UJ i AE, a także przedsię-  
biorcy prywatni z południowej Polski.*

*BWR S.A. ma swoją Centralę w Krakowie, oraz oddziały:  
I i II w Krakowie, Kielcach, Tychach, Wrocławiu, w Nowym Sączu,  
filie w Zabrze, Trzebini, Bolesławcu a także delegaturę w Warszawie.*

*Główne obszary działania BWR S.A. to:*

- rynek paliwowo-energetyczny, obsługa finansowa Centrali Produktów Naftowych, Rafinerii Polski południowej i innych podmiotów tej branży,
- rynek rolno spożywczy, obsługa dużych i średnich przedsiębiorstw przemysłu przetwórczego i rolno spożywczego,
- średni i duży biznes prywatny, zagospodarowanie aktywności gospodarczej lokalnych podmiotów prywatnych i państwowych,
- rynek komunalny i inicjatyw samorządowych.

*Przedmiotem działalności BWR S.A. jest gromadzenie i wykorzystywanie środków finansowych osób fizycznych i prywatnych, kredytowanie ich działalności oraz uczestniczenie we wszelkich formach działalności gospodarczej.*

***Oddział Banku Współpracy Regionalnej S.A. w Nowym Sączu przyjął dewizę, "służyć społeczności nowosądeckiej, stale być obecnym w życiu kulturalnym miasta i regionu, łączyć wartości materialne z duchowymi", wspierać działalność kulturalną nie tylko finansowo, ale także stara się aktywizować wszystkich mogących wesprzeć kulturę.***



**W najbliższym numerze między innymi:**

---

■ **Księgozbiór Szujskiego w WBP**

■ **O Władysławie Barbackim**

■ **Listy mobilizacyjne sądeczan z sierpnia 1939 roku**

---